Nr. 1. Lwów, dnia 1. Stycznia 1888 r. Rok I.



Prenumerata wynosi w Galicyi: Rocznie **6** złr., półrocznie **3** złr. kwartalnie **1** zł. **50** ct., miesięcz. **50** ct. Skład w księgarni Polskiej Lwów.

W Księstwie Poznańskiem: Rocznie **12** marek, półrocznie **6** marek, ćwierćrocz. **3** m., miesięcz. **1** m. Skład w Poznaniu u J. Leitgebra i Ski

Wydawca: **Józef Rogosz.** — Redakcya „*Wieczorów zimowych*“ **w drukarni nar. W. Manieckiego ul. Kopernika l. 7 we Lwowie.**

„*Wieczory zimowe*“ **wychodzą we Lwowie trzy razy na miesiąc, a mianowicie**: każdego 1-go, 10-go i 20-go.

W ŚMIERTELNYCH ZAPASACH

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

osnuta na tle stosunków Wielkopolskich

przez

JÓZEFA ROGOSZA.

TOM PIERWSZY.

I.

Krzyk robił się coraz większy. Jeszcze przed chwilą, w domku rybaka huczało jak w ulu, nim z niego pszczoły wylecą; teraz wśród grzmotu, od którego szyby w oknach dźwięczały, słychać już było: to głos męzki, urywany, a gruby, podobny do strzałów działowych, to drugi niewieści, krzykliwy, a tak donośny, że przypominał łoskot kartaczów pękających.

Z domów sąsiednich wybiegły dwie kobiety, za niemi dzieci kilkoro.

— Słyszycie Frącka?

— Ktoby ta nie słyszał!... Wszak ci to trwa od świtu.

— Matulu! a czego się oni tak swarzą? — pytał chłopak dziesięcioletni, ku domostwu rybaka ciekawie głowę wyciągając.

— Ta czego.. chyba tego, że ich Pan Bóg odstąpił, a bies opętał.

— Kto bo słyszał, żeby tak świętą niedzielę zaczynać — druga kobieta dodała. — Jeszcze się nie pomodlili, a już sadzą w siebie djabłami. Wiecie co, Jaga, dziś trzeba koniecznie jegomości po mszy świętej powiedzieć, co tu się dzieje, niech oni poradzą. Jak jegomość dobrze jej nagadają, to może babsko weźmie Pana Boga na pomoc.

Sąsiadka, do której te słowa były zwrócone, poruszyła się niecierpliwie.

— Wam bo, Frącka, zawsze się zdaje, że to ona winna, a ja wam powiadam, że to on! Mój także na mnie skarży się i dziwne rzeczy wymyśla, a tymczasem wszyscy wiedzą, kto winien, ja, czy on. Gdyby nie ja, [illegible]e miałby ani buta na nodze, ani koszuli na grzbiecie.

Podczas gdy sąsiadki tak rozmawiają, ukosem na domek rybaka poglądając, w jego wnętrzu ciągle kipi. Nagle coś tam huknęło, jakby się mur zawalił. Obie kobiety spojrzały na siebie z przestrachem; starsza, Franciszka, którą przez skrócenie Frącką nazywano, podniosła nawet rękę do czoła, aby się przeżegnać.

— Matulu! ja pójdę przez okno zajrzeć, co oni tam robią — chłopak się napierał.

— Nie idź, Walek, bo ci się jeszcze co złego stanie — matka odpowiedziała, syna za rękę przytrzymując.

W tej samej chwili, w domku drzwi się rozwarły i krokiem wolnym wyszedł mężczyzna w długiej kapocie, z licznemi w tyle fałdami, a w czarnym kapeluszu. W sieniach pękały coraz głośniej kartacze. Rybak, gdyż on to był, tak za sobą drzwi zatrzasnął, że aż mury jęknęły, potem zatrzymawszy się przed domem, by go, broń Boże! kto o brak odwagi nie posądził, nogi szeroko rozstawił, wziął się w boki i przez zęby plunął na piasek.

Drzwi znowu się otworzyły i na progu ukazała się kobieta, zaperzona, sina na twarzy, w czepku na jeden bok przekrzywionym.

— A bodajeś za moją krzywdę kark skręcił, *Hundeseele!* A bodaj ci nogi połamało, *alter Kerl!* A bodajbyś...

Nie dokończyła, mąż bowiem, odwróciwszy się do niej nagle, zawołał głosem potężnym:

— A bodaj ci, zła babo, gościec język pokrzywił!

To powiedziawszy, machnął ręką, splunął pogardliwie, kapelusz na oczy głębiej nacisnął, i nie zwracając więcej uwagi na przekleństwa czułej małżonki, która teraz opuściła ostatnie śluzy swojej wymowy, począł szybko schodzić do jeziora,

leżącego o kilkadziesiąt kroków poniżej wioski. Nad jego źwierciadłem unosiła się tak gęsta mgła poranna, że tylko przy brzegu widać było miejsce jaśniejsze, okolone wieńcem trzciny gęstej a wysokiej.

Maryna, tak było na imię żonie rybaka, stojąc ciągle na progu domostwa, przeklinała coraz straszliwiej, przyczem słowa niemieckie z polskiemi mięszała. Powódź wyrazów, wylewająca się przez jej usta gniewem nabrzękłe, musiała być bardzo gwałtowna, skoro żadna z sąsiadek, mimo iż każda z nich miała ucho wprawne, nie mogła dociec, co właściwie było dziś powodem jej gniewu i kłótni z mężem. Słyszały tylko, że złorzecząc Wojciechowi, za krzywdę, jaką jej miał wyrządzić, pragnęła jak najprędzej widzieć go na marach.

— Ej! Maryno, nie wywołujcie wilka z lasu, bo o nieszczęście nie trudno — odezwała się Franciszka.

Maryna nie dokończywszy nowego przekleństwa, którego pierwszą dopiero połowę za mężem wysłała, obróciła się teraz do sąsiadki.

— A wam co do tego, Frącka? — krzyknęła.

— Co? ta nic... ale taka obraza boska, to przecie grzech ciężki.

— Zawsze to wasz mąż — Jaga dodała — i dobry człowiek.

— A ja się was pytam, co wy z waszymi robicie? A bodajeście za moją krzywdę jasności niebieskiej nie oglądały!

Obie sąsiadki poczerwieniały na twarzy, przyczem poruszyły się niecierpliwie, nie mogąc w miejscu ustać. Jaga podniosła nawet rękę do góry i okiem groźnem wpatrzyła się w Marynę, jakby na nią chciała się rzucić.

— Kiedy tak, to bodajeś trzy dni konała! — Frącka pierwsza zawołała.

— I bodajeś jak świeczka skapała! — Jaga poprawiła.

— Nie doczekanie wasze! — trzęsąc się z gniewu Maryna odparła. — Jeszcze ja pójdę za waszym pogrzebem!

Po tych słowach, szczupły plac boju, którym dotąd był domek rybaka i małe jego obejście, zaczął się szybko rozszerzać. Chociaż Frącka i Jaga dobrze się trzymały, bo i piersi miały zdrowe i niewyczerpany zasób słów dosadnych, mimo to dalsze sąsiadki osądziwszy, że z obowiązku muszą im na pomoc pospieszyć, Maryna bowiem uchodziła we wsi za osobę najbardziej swarliwą, która w życiu swojem jeszcze nikomu nie ustąpiła — zaczęły zbierać się ze stron wszystkich: te całkiem już ubrane, tamte z odkrytemi jeszcze głowami, jedne same, inne z dziećmi na rękach, dwie przybiegły nawet z niemowlętami u piersi, każda zaś usiłowała drugą przekrzyczeć, gdyż każda była głęboko przekonana, że tylko ona potrafi Marynie dopiec do żywego.

Ta, w której pierś krocie pocisków godziło, a na której głowę zwalić się miało tyle nieszczęścia, że jego połowa wystarczyłaby na zniszczenie świata całego, jako osoba w bojach doświadczona, widząc, że licznego ma przeciw sobie nieprzyjaciela, postanowiła nie dać na wiatr ani jednego strzału. Wziąwszy się tedy w boki, stała z oczyma roziskrzonemi, gniewna i sroga, ale chociaż niecierpliwość pierś jej rozsadzała, jak długo sąsiadki krzyczały, umiała milczeć. Dopiero ilekroć one wysilone ucichły, rzucała słowo, jedno, drugie, trzecie... A straszne one być musiały, i niewątpliwie każde w cel trafiało, skoro ilekroć usta otworzyła, wśród sąsiadek i kumoszek robił się zamęt, jakby w ich środek kilka bomb wpadło; krzyk przeraźliwy bił o niebiosa i pięści zaciśnięte ku Marynie się zwracały. Wtedy ona uśmiechała się ironicznie i zwycięztwem dumna głową tryumfująco potrząsała.

Mężowie i bracia, chcąc scenie gorszącej kres położyć, bądź przez okna wołali, bądź z domów powychodziwszy starali się zabrać z sobą rozsierdzone niewiasty. Nie szło im to jednak .. i kto wie, czy walka byłaby ustała przed południem, żadna bowiem ze stron bojujących nie chciała pierwsza ustąpić, gdyby nie dzwonek kościelny, który z pobliskiego pagórka jął wiernych upominać, że czas pomyśleć o nabożeństwie. Wtedy jedne zaczęły żegnać się, drugie fartuchy podniosły, by pot z czoła obetrzeć, inne zaś osądziwszy, że dopiero teraz mogą wycofać się w sposób honorowy, krokiem wolnym ruszyły ku swoim domostwom. Za ich przykładem poszła wkrótce reszta, ale że armia dobrze wyćwiczona nie ustępuje z placu boju, tyłów sobie nie zasłoniwszy, więc też i te, które przypadkiem znalazły się na końcu, obracając się często do Maryny, odstrzeliwały się jeszcze ogniem urywanym.

Ona stała w tej samej co przedtem pozycyi i dopiero gdy nieprzyjaciel odwrotu dokonał, pełną piersią zawoławszy: *Mistvieh!* weszła do sieni, zkąd drzwi na lewo prowadziły do izby mieszkalnej.

II.

Wojciech zbiegłszy tymczasem do jeziora, wskoczył do czółna, zerwał łańcuch, którym było do pala przywiązane, oparł jeden koniec wiosła o ziemię, drugi o pierś swoją i silnem pchnięciem odbił od brzegu. Czółno wąskie a długie, musnęło jak rybitwa ciche wody źwierciadło, i chociaż rybak więcej wiosłem nie ruszył, wypłynęło na pełne jezioro. Właśnie gdy Wojciech usiadł na ławeczce, wietrzyk łagodny wionął od wioski, mgły zrazu podniosły się nieco, potem zaczęły kłębić się, opadać i w jezioro wsiąkać.

Rybak oparł łokcie o kolana, głowę wziął w dłonie i w dno czółna zapatrzony, myślał. O czem? O swojem życiu...

Ileż to razy, zmęczony krzykiem żony, uciekał na jezioro, aby tu, zdala od domu, z gniewu

ocł nąć. Maryna tak mu dokuczała, że pełen rozpaczy odbijał czasem od brzegu w zamiarze utopienia się tam, gdzie głębia była największa. Jednakże chłód tej wody wiecznie żywej, zbawiennie wpływał na jego głowę rozpaloną, szmer zaś fali drobnej a srebrzystej, co jak łuska karpia, od brzegu do brzegu pomykała, tak błogo duszę mu nastrajał, że ilekroć na środku jeziora znalazł się, zawsze zapominał o tem, co go z domu wypędziło i wracał spokojniejszy, czasem nawet w dobrym humorze.

Wojciech miał ciągle głowę wdłoniach ukrytą i dopiero krzyk dzikich kaczek, które nieopodal żerowały, zbudził go z zamyślenia. Podniósł głowę.

Kaczki z początku biegły po wodzie, krzycząc i skrzydłami bijąc, lecz gdy postrzegły, że łódź wiatrem popychana prosto ku nim zmierza, zaczęły w górę wzlatywać. Wkrótce utworzył się z nich sznur olbrzymi, którego jeden koniec był jeszcze na wodzie, drugi już w obłokach. Za chwilę stado liczące kilka tysięcy skrzydeł, z szumem chmury gradowej przeleciało nad głową rybaka, i duże koło zakreślając, poczęło krążyć nad jeziorem.

Wojciech nie był myśliwym, strzelby nie miał, zresztą ci, do których jezioro należało, nie byliby mu pozwolili polować. Kaczki musiały to wiedzieć, skoro pobujawszy kilka minut w przestworzu, z krzykiem na dawnem miejscu usiadły. Woda pod niemi zakipiała i łódź silniejszą falą uderzona, w bok odpłynęła.

— Znają mnie, psiewiary! — mruknął rybak, uśmiechając się z zadowoleniem.

Odtąd głowy w dłoniach więcej nie ukrywał, tylko okiem swobodniejszem wodził do koła.

Wojciech Żołędziak miał już lat blisko sześćdziesiąt, ale na tyle nie wyglądał. Nie należał on do rosłych, był raczej niski; ciała miał mało na sobie, za to kości jego były grube i silne. Ci, co we wsi, wierząc w potęgę swojej pięści, nie lubili nikomu z drogi ustępować, mieli z dawien dawna wielki szacunek dla jego dłoni, zdarzyło się bowiem kilka razy, że podczas sprzeczki w gościńcu, koniecznością zmuszony, przekonał ich namacalnie, jakiej był siły. Odtąd obchodzili go też zdaleka i nigdy nie zaczepiali.

Włosy, które mu się z pod kapelusza dobywały, były wprawdzie rzadkie, lecz jeszcze czarne; oczy miał wyraziste, kości nad niemi daleko wystające, nos cienki i kształtny, twarz suchą i zawiędłą, a wąs tak gruby, że mu całe usta zasłaniał. Te wąsy były pierwszą kością niezgody między nim, a jego żoną. Maryna chciała koniecznie na nim wymódz, by je ogolił, a gdy on stanowczo odrzekł, że tego nie uczyni, usiłowała go przekonać, że wąsy są rzeczą brzydką, którą zarzucili nie tylko chłopi niemieccy, lecz i ci między polskimi, którzy się o niemców otarli. Maryna wyrosła w takiem przekonaniu, po matce bowiem miała trochę w żyłach krwi niemieckiej, a prócz tego za młodu wychowywała się między Niemcami, którzy dla niej zostali szczytem doskonałości.

— Ja nie niemiec, więc będę wąsy nosił! — mąż hardo odpowiedział.

I nie tylko wąsów się nie wyrzekł; on nosił także długą, granatową kapotę, z licznemi w tyle fałdami, którą dotąd widuje się u ludu osiadłego nad Notecią. Ojciec jego z tamtych stron pochodził, a chociaż syn w inną przesiedlił się okolicę, został jednak wiernym tradycyi i nic sobie z tego nie robił, że najpierw żona, po niej inni przezywali go „stufałdnikiem“.

— Moja kapota — odpowiadał — to ubiór polski, katolicki, a wasz kusy szpencer to wymysł luterjański, djabelski!

Odziedziczywszy po ojcu, który był rybakiem, pięćset „bitych“ (tak talary nazywał) przesiedlił się w te oto strony, gdzie wkrótce ożenił się z Maryną, sierotą bez ojca i matki, która mu drugie tyle w posagu przyniosła. Ponieważ był człowiekiem obrotnym i pracowitym, więc też wkrótce na kawałku ziemi, który w Trzcińcu nabył, postawił sobie porządny domek mieszkalny i drugi budynek gospodarski. Prócz tego wydzierżawił rybołostwo na jeziorze, za które dwom jego właścicielom, hrabiemu z Ujścia Leśnego i dziedzicowi z Trzcińca, płacił rocznie trzysta bitych. Powierzchnia jeziora była znaczna, gdyż obejmowała przeszło dwa tysiące mórg magdeburgskich.

Żona była nie mniej od niego gospodarna i oszczędna, dzięki czemu ich majątek, acz zwolna, stale się powiększał. Gdyby nie pożar, który raz zniszczył im wszystko do szczętu, Żołędziak byłby dziś pierwszym we wsi bogaczem. Wielką klęską było dla nich i to także, że im się dzieci nie chowały. Między synem pierworodnym, który właśnie z wojska wrócił, a ostatnimi dwoma chłopcami, z których młodszy miał lat ośm, starszy zaś dziesięć, umarło im dzieci pięcioro, jeden syn, a cztery córki. Ponieważ ojciec był do dzieci bardzo przywiązany, więc też każda śmierć ubezwładniała go na czas dłuższy, co zaraz dawało się czuć w gospodarstwie. Żona, lubo iż była także dobrą matką, prędzej niż on odzyskiwała równowagę, bo chociaż on miał silniejszą od niej wolę, za to ona przewyższała go sprężystością temperamentu. Jej też głównie zawdzięczał, że wśród nieszczęść, co nań spadały, całe jego mienie nie poszło na marne.

Żona z początku sobie życzyła, by ją mąż *Marie* nazywał i zawsze po niemiecku z nią rozmawiał, zdawało jej się bowiem, że w oczach chłopów polskich, wśród których mieszkali, użyczy im to blasku i znaczenia. Wojciech, mimo, iż sam nie źle umiał po niemiecku, gdyż dokoła Trzcińca było pełno niemców, z którymi jako rybak bezustanne stosunki utrzymywał, odparł na to stanowczo, że barańim językiem mówić nie będzie, a jej do końca życia

nie przestanie Maryną nazywać. Tak więc została polską chłopką, co ją niezmiernie bolało. Poczytując niemców za istoty wyższe i doskonalsze, którym sam Pan Bóg kazał nad polakami panować, a nie mogąc zrównać się z nimi, by ulżyć swemu sercu, nie jednę godzinę Wojciechowi zatruła. Skoro on był sprawcą jej zmartwienia, niech więc zato odpokutuje.. On jednak mężnie wszystko znosił i twardo stał przy swojem.

W ostatnich czasach, wrodzona jej swarliwość, przybrała już takie rozmiary, że biedny rybak lękał się nie raz by nie oszalał. Powodem tego był ich syn najstarszy, Jasiek, który przed kilku tygodniami z wojska wrócił. Ojciec ledwie go poznał, tak się zmienił; za to matka na jego widok aż w ręce klasnęła. Te kilka lat, które w wojsku spędził, na wskróś go przeistoczyły. Nie tylko kuso się ubierał, i po niemiecku chętnie rozmawiał, on nawet wstydził się przyznać, że był synem włościanina polskiego. Ojciec poczytywał to za nieszczęście, matka zaś była głęboko przekonaną, że jej pierworodny, w którym najpiękniejsze nadzieje złożyła, osiągnął nareszcie tę wyżynę dla niewielu dostępną, na której dotąd widywała tylko możnych tej ziemi. Ta różnica zapatrywań na postępowanie własnego dziecka, była obecnie bezustannem źródłem nieporozumień między mężem a żoną.

Gdyby Jasiek, takim, jak im teraz się przedstawił, wrócił był przed dziesięciu laty, to prawdopodobnie ojciec nie byłby sobie wtedy z tego wiele robił. W najgorszym razie byłby tylko zaklął, splunął i na jezioro popłynął. Przeciwnie dziś gryzł się i wstydził. Gryzł się, że syn jego robi się odstępcą, a wstydził się, że on, Wojciech Żołędziak, który między swymi pragnął za najlepszego uchodzić, tak źle wychował własne dziecko.

Chociaż zawsze kochał swoją ziemię i narodowość, przecie lat jeszcze temu kilkanaście nie wiedział, że ludzie sprawiedliwi, to, co w sercu noszą, powinni także otwarcie wyznawać, i że tam, gdzie obcy żywioł na to godzi zuchwale, co człowiekowi jest najdroższe, sam Bóg nakazuje walczyć w obronie przyrodzonych świętości. O tem dowiedział się on dopiero w ostatniem dziesięcioleciu i to z ust ks. Błażeja Czyżyka, który w tym czasie został w Trzcińcu proboszczem. Ten każdej niedzieli głosił z kazalnicy, że polakom wolno naśladować tylko pracę i oszczędność niemiecką, a nie mowę, nie strój, nie obyczaje niemieckie, gdyż za tem poszłaby także zmiana religji, czegoby Bóg ani w tem, ani w przyszłem życiu nie przebaczył. Ks. Błażej umiał mówić, a że postępowanie jego pod każdym względem było nienaganne, więc też tem większy wpływ wywierał.

Powoli nakłonił on nietylko Wojciecha, lecz i innych gospodarzy, że sobie zapisali polską gazetkę, za własne pieniądze sprowadzał im różne książeczki pouczające, opowiadał im historyę kraju ojczystego, nareszcie założył „Kółko“ parafialne, którego przewodniczącym był sam dziedzic Trzcińca, pan Henryk Miliński. Każdej niedzieli po południu, włościanie zgromadzali się w miejscu na ten cel przeznaczonem, i tam dziedzic pouczał ich, jak powinni prowadzić swoje gospodarstwa, by ziemia pewniej i więcej rodziła, poczem rozdzielał między nich dziełka rolnictwu poświęcone. Nieraz także się zdarzało, że p. Miliński i proboszcz razem po wsi chodząc wstępowali to tu, to tam, aby pogawędzić z gospodarzami o rzeczach przeróżnych, o których każdy z nich powinien był coś wiedzieć. Ksiądz i dziedzic tak się we wszystkiem zgadzali, że czy to jeden, czy drugi mówił, zawsze kończył jednakowo:

— Pamiętajcie, żeście powinni umrzeć dobrymi polakami, to jest katolikami, i że grzech to straszliwy jeśli kto garnie się do niemców, bo oni innej religji

Od tego czasu wszystkim w głowach się rozjaśniało — ale ponoś najjaśniej zrobiło się w głowie Wojciecha Żołędziaka, ten bowiem miał w całej wsi najwięcej rozumu i serce najgorętsze. Choć był tylko rybakiem, jednakowoż pod względem rozumu, sam sołtys nie mógłby się z nim równać.

Jak więc teraz musiał gryźć się i wstydzić, gdy syna pierworodnego ujrzał w kusym stroju i z niemieckiem słowem na języku!...

O czemu dożył tego sromu!..

III.

Łódź zdana na łaskę losu i fali, posuwała się coraz szybciej, wiatr bowiem zerwał się dość silny i była już na samym środku jeziora, gdy nagle dnem o jakiś twardy przedmiot uderzyła. Wstrząśnienie było tak niespodziewane i gwałtowne, że rybak równowagę straciwszy, pochylił się i aby nie wpaść do wody, oburącz chwycił się krawędzi czółna.

— Bodaj te skaliska raz już bies porwał! — mruknął. — Gotowo jeszcze być kiedy nieszczęście.

To powiedziawszy ujął za wiosło, kilka razy o wodę uderzył, czółno w miejscu obrócił, dziobem wsunął je między skały, których trzy wierzchołki widać było nad powierzchnią wody, potem pomiędzy niemi stanął nieruchomo a bezpiecznie, jakby w porcie na kotwicy.

Jezioro było niezmiernie głębokie, skutkiem czego połów ryb nie należał tu do zajęć przyjemnych i łatwych. Miejsca nieco płytsze znajdowały się tylko tam, gdzie kaczki siadywały i gdzie trzciny rosły; zresztą wszędzie rozciągała się toń czarna, a niezgłębiona, bez kwiatów ni ziela. Jakie było dno jeziora, nikt dotąd nie zbadał, ale że ku środkowi musiało być skaliste, to wskazywał najpierw kolor wody, w tem miejscu jaśniejszy, białawy, nareszcie owe skał wierzchołki, które jakby iglice trzech wieżyc gotyckich, strzelały ponad wody zwierciadło. Ilekroć jezioro było spokojne, wtedy z wszel-

ką łatwością mógł je każdy ominąć, gdyż prawie na stopę z wody wystercza!y; gorzej atoli było podczas burzy, gdy fala spieniona wszelki ślad po nich zacierała. Wtedy tylko ten mógł niebezpieczeństwa uniknąć, kto każdy punkt jeziora znał i pamiętał. Takich, prócz Wojciecha Żołędziaka, było jeszcze w okolicy może dwóch lub trzech, ale nie więcej.

Dotąd już nie jeden nad tem się zastanawiał, ażali przez wzgląd na bezpieczeństwo rybaków, nie należałoby owych skał rozsadzić; był czas, że p. Miliński, chciał to nawet sam uczynić, wszakże gdy rozważył, że jezioro należało tylko w jednej połowie do niego, a w drugiej do dziedzica z Ujścia, hr. Artura Wągrowskiego, granica zaś biegła właśnie między owemi skałami, postanowił na własną rękę nic nie przedsiębrać. Co do hrabiego, ten był by może także chętnie na to przystał, lecz z panem Milińskim poznał on się dopiero w ostatnich czasach, więc też i mowy jeszcze o tem nie było.

Gdy czółno między skałami zatrzymało się spokojnie, Wojciech stanął, hardo głowę podniósł i wzrok po fali puścił. Tu był panem wszechwładnym, tu królem, tu nie słyszał już krzyków żony. Z tylnej kieszeni kapoty wyjął tytoń i fajkę na krótkim cybuszku, którą po wierzch nałożył, i dobrze nabił. Potem ognia skrzesał i cybuch do ust włożywszy, zaczął powoli puszczać dymek błękitnawy.

Dzień był piękny, lipcowy. Mgła, która jeszcze niedawno nad jeziorem leżała, wróżyła skwar koło południa. Teraz jednę jej część jezioro pochłonęło, druga uleciała na ostatnie krańce widnokręgu, gdzie największe nawet przedmioty, jak bory i fabryki z wysokiemi kominami, rysowały się szaro, niewyraźnie, niby duchy w tajemniczą szatę przyodziane.

Jezioro ciągnąc się od wschodu ku zachodowi, miało kształt podłużny. Na wschodzie tworzyło wąską szyję, w zachodniej zaś stronie dość symetryczne półkole, nad którem rozsiadła się wioska Trzciniec, z czerwonemi murami i takiemiż dachami; na prawo od niej wznosił się kościół z wieżą wysoką, na lewo dwór właściciela, p. Milińskiego, którego mury także czerwone, bo nietynkowane, odbijały się w źwierciedle jeziora.

Prawie naprzeciwko tego dworu, po drugiej stronie wody, w oddaleniu czterech kilometrów, jezioro bowiem było najszersze w tem miejscu, stał pałac hr. Artura Wągrowskiego, mający od frontu kamienne wschody, które do jeziora prowadziły, z tyłu olbrzymi park angielski. Na prawo od pałacu, widać było osadę Ujście Leśne, zapewne dla tego tak nazwane, że niegdyś rosły tu wielkie lasy, które w ostatnich czasach siekiera cywilizacyjna tak wycięła, iż ledwie gdzie niegdzie małe po nich kępy drzew pozostały. Z Trzcińca do Ujścia Leśnego prowadziły dwie drogi. Jedna wodna, najkrótsza i najprzyjemniejsza, lecz nie dla każdego dostępna, albowiem prócz dziedziców i rybaka nikt nie mógł mieć czółna na jeziorze; droga murowana, była także wygodna, wszelako od pierwszej bez porównania była dłuższa, tą bowiem objeżdżało się większą połowę jeziora, i to w takiem miejscu, gdzie ono tworzyło liczne odnogi i bagniska, gęstemi kępami zarośnięte.

Na lewo od dworu pana Milińskiego a we wschodnim kierunku jeziora, widać było wieś Komarowo, w niej młyn i gorzelnię; za nią, już na krańcu widnokręgu, rysowało się miasteczko powiatowe, pod którem wznosiło się kilka fabryk, między niemi cukrownia i ośm drewnianych wiatraków. W dni powszednie, szerokie skrzydła wiatraków kręciły się od rana do ciemnej nocy, w okolicy tej bowiem wiatr od morza nadciągający, był gościem codziennym, wszakże dziś, jako w niedzielę, stały one nieruchome, i zdaleka dla swych kształtów niewyraźnych, były podobne do ośmiu mnichów w grubych włosiennicach, których czarodziej zaklął w chwili, gdy mieli ku niebu ręce podniesione.

Drogi łączące Ujście, Trzciniec i Komarowo, były szerokie, równe i tak utrzymane, że nie psuły się ani na wiosnę gdy śniegi tajały, ani wśród największych slot jesiennych. Piasek i kamień, a tego było tu wszędzie pod dostatkiem, z piaszczystej bowiem roli, pługi co krok wyorywały to mniejsze, to większe bryły kamienia krzemienistego, który w epoce potopów i lodowców, woda tu nadniosła, służyły za najdoskonalszy materyał do budowania dróg pobocznych, które jak małe rzeczki do wielkiego strumienia wpadające, łączyły się pod Komarowem z główną szosą.

Każda droga, tak samo jak szosa, miała po obu bokach bądź drzewa dzikie, bądź owocowe. I tak ta, którą jechało się z Trzcińca do Ujścia, była obsadzona w jednej połowie jabłoniami, w drugiej prześlicznemi czereśniami; droga z Ujścia do Komarowa należała do mniej powabnych, bo chociaż na niej rosły topole nadwiślańskie, były one jednak zawsze tak niemiłosiernie popodcinane, że za całą ozdobę zostały im ledwie skromne wierzchołki; weselej znowu wyglądała droga między Trzcińcem a Kamarowem, na tej bowiem zielonemi warkoczami szumiały brzozy jak śnieg białe, największa zaś rozmaitość panowała na szosie, gdyż tu, co tysiąc metrów, drzewa się zmieniały. Z początku rosły czereśnie, dalej brzozy, po nich biegły topole nadwiślańskie, na przestrzeni czwartego kilometra widziało się jabłonie, nareszcie pod miastem samem spotykała podróżnika prawdziwa niespodzianka, tu bowiem wjeżdżał on w piękną aleję klonową.

Drzewa i owoce były własnością tych gmin i dziedziców, którzy je na swojem terytoryum sami pielęgnowali, gdzie zaś osoby prywatne za-

pomniały drogi obsadzić, tam rząd zaraz sam to czynił lecz i dochód ztąd płynący, potem do własnej chował kieszeni.

Na szosie, przed każdem drzewem, by je ochronić od uderzeń, stał kamień dość wysoki, jak śnieg biały, u góry na czarno pomalowany. Ci w wiecznem milczeniu pogrążeni drzew obrońcy, przypominali Kamedułów w białych szatach a czarnych kapeluszach, którym wolno tylko myśleć lecz nie mówić.

Pola były wszędzie starannie uprawione, nigdzie nie widziało się ani jednej grzędy odłogiem leżącej; mimo niewielkiej ziemi zasobów, zboża były rosłe, konicze zwarte i ciemne, buraki ogromne, koński ząb tak wysoki, że ułan na koniu mógł się w nim łatwo schować. Każda piędź roli, każdy rowek, każda bruzda nosiła tu na sobie wyraźnie piętno mozolnej pracy człowieka, drzewa zaś w borze między Trzcińcem a Komarowem, tak były czyste i porządne, że zdawało się prawie, jakby je ludzie przynajmniej raz na tydzień myli i czesali.

Tak wyglądał ten zakątek Wielkopolski, leżący niedaleko granicy niemieckiej, gdzie od lat dwudziestu kilku Wojciech Żołędziak mieszkał, ryby łowił i Boga chwalił.

Stał on ciągle w czółnie i ćmiąc fajeczkę, rozglądał się to w prawo, to w lewo, przyczem półgłosem z sobą rozmawiał:

— Piękny kraj, bardzo piękny i nie żal by było człowiekowi żyć w nim i umierać, gdyby nie te luterjany!... A gdzieś to się rodzi jak grzyby po deszczu... Choć nie posiejesz, on zejdzie... Jeszcze lat temu dwadzieścia, wszystko, co tu widać, było w rękach naszych dziedziców, dziś ostali się tylko pan Miliński i hrabia z Ujścia, chociaż Bóg tam wie, czy ten drugi jeszcze polak. Jego ludzie powiadają, że on ni pies ni baran, włóczy się ciągle po Berlinach i Paryżach, a jak do domu przyjedzie, to jeno po francusku ze swoim kamerdynerem rozmawia. Tfu! z takim polakiem i katolikiem!... Pan Miliński już inszy... ten sprawiedliwy polak i rzetelny katolik. Szkoda tylko, że mu gospodarstwo nie najlepiej idzie. Ale kto temu winien, jeżeli nie niemczyska przebrzydłe? Ten łakomy baron z Komarowa już oddawna łapę po Trzciniec wyciąga — i cud jeszcze wielki, że pan Miliński dotąd mu się nie dał. Dobre panisko, bardzo dobre, szkoda by go było!

Wyjął z ust fajkę, splunął i wytrząsając z niej popiół na dłoń lewej ręki, tak dalej mówił:

— A jakie to harde, jakie zuchwałe! Z Komarowa zrobili już między sobą Genselberg, z Ujścia Leśnego—Waldusch, Trzciniec chcieliby także naciągnąć na swoje kopyto i przechrzcić po luterjańsku, bo im trudno katolickie nazwisko wymówić, ale niedoczekanie wasze, psiepary, nie! Jeszcze wam nasz Trzciniec kością w gardle stanie!... Przecie pan Bóg nas tu pierwej stworzył, a wyście tylko do nas wleźli, więc nie wy macie nasze wsie nazywać, jeno my sami. Mówcie Genselberg, Waldusch, licho wie jak jeszcze, a my przecie nie zapomniemy że to Komarowo i Ujście Leśne... Strach! jaki to naród niebezpieczny, a grubiański. Czy by to z nas który szedł tam, gdzie go nie proszą, a oni pchają się wszędzie sami i nie ustąpią choć byś ich kijem pędził. Jeszcze temu trzy lata, nie było u nas we wsi ani jednego niemca, teraz są już trzy rodziny, a dzieci u nich wszędzie jak maku. Sprawiedliwemu katolikowi biedactwo nie chowa się, wymiera, a u nich rodzi się to i żyje, jak króliki.. Tfu! z takim narodem... Dobrze mi raz nasz jegomość powiedzieli, gdym go pytał, z kąd u nas bierze się nasienie niemieckie. Jegomość wziął mnie wtedy za rękę, a była zima i wielki wiatr na dworze, przyprowadził do okna i kazał dłoń pod niem położyć. — Wieje? — zapytał. „Ta wieje“ — odrzekłem. — Widzisz, mój Wojciechu — jegomość, na to powiedzieli — wiatr wdziera się do izby, chociaż okno dobrze zamknięte i nigdzie szpary nie ma. A jakże niemiecka mowa i obyczaj, nie mają wciskać się do naszych domów, skoro my drzwi i okna przed niemi na oścież otwieramy? O! mój Wojciechu, nie tyle oni winni, że do nas lezą, bo jak kto głodny, to musi za domem szukać kawałka chleba, oni zaś u siebie mają ziemię jałową, ile myśmy grzeszni, że ich nietylko do siebie wpuszczamy, lecz jeszcze się na nich zapatrujemy! — Święte słowa jegomości, święte!..

Rybak zatrząsł się, pięść zacisnął i straszliwie zaklął. Na pamięć przyszedł mu syn rodzony. Schował fajkę do kieszeni, silną dłonią wiosło ujął, kilkoma uderzeniami czółno z portu wyprowadził i ostry dziób jego skierował ku wschodowi.

Snać nie był jeszcze całkiem spokojny skoro do domu nie wracał.

Z wieży kościelnej odezwała się sygnaturka, wzywająca na nabożeństwo. Perliste jej dźwięki, niewyraźnie fala fali podawała, póki nie obiły się o ucho rybaka... Wtedy on zdjął kapelusz, przeżegnał się nabożnie i czółno nawrócił.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

DWA OBOZY

POWIEŚĆ FRANCUSKA

WIKTORA CHERBULIEZ.

I.

Nadeszła wigilja Bożego Narodzenia. Mała kapliczka, w jednym z klasztorów na przedmieściu *Saint-Germain*, nigdy jeszcze nie wyglądała tak strojnie, nie była przybrana z taką kokieteryą i nie była tak przesiąknięta wonią kadzideł. Przed żłobkiem płonęło mnóstwo światła i klęczało w dwóch rzędach ośmnaście młodziutkich dziewczątek, które zdawały się rozmyślać, w głębokiem ducha.

skupieniu. Były to uczennice klasztorne, które kończyły nauki i miały wyjść po Nowym Roku, przedtem jednak pozwolono im modlić się przez godzinę, przed żłobkiem Dzieciątka Jezus.

Żłobek był arcydziełem w swoim rodzaju; żyjemy w epoce, w której wszystko dąży do najwyższej doskonałości: szkoły i klasztory, lalki i oświetlenie. Boskie Dzieciątko, tłuściutkie, pulchniutkie, ulane z wosku najdelikatniejszego, spało na słomie, która była słomą najrzetelniejszą. Jego Matka w białej szacie, przewiązanej w pasie cudowną szarfą błękitną, z długiemi, powiewającemi końcami, stała nad Jezusikiem pochylona, jakby śledząc oddechu dzieciątka. Święty Józef wsparty na lasce, wpatrywał się w tę niepojętą tajemnicę, wzrokiem smętnym i zadumanym. Trzy krówki do drabiny uwiązane, zwracały głowy z mozołą ku Nowonarodzonemu, wlepiając w niego oczy okrągłe i błyszczące. Z boku, z pod arkady bluszczowej, spostrzegało się pasterkę szybko nadbiegającą, a obładowaną zapasem żywności składającym się z prawdziwego mleka, prawdziwego masła i jaj rzeczywistych. Na prawo, wśród łączki zielonej, pasło się bydełko, a na czele biegły pieski i szli pasterze; aniołek zawieszony na drucie, palcem żłobek im wskazywał i zdawał się do nich przemawiać:

— Zwiastuję wam radość niezmierną! — W głębi błyszczała gwiazdeczka, a z lewego boku, nadciągali majestatycznie, Trzej królowie, złotogłowiem przyodziani, z głowami w koronach. Chociaż zdaleka przywędrowali, nie było na nich znać utrudzenia; nie czuje się bowiem trudu, jeżeli przynosi się w ofierze Bogu Wcielonemu, złoto, drogie kamienie i mirę.

Między dziewczątkami klęczącemi w milczeniu przed żłobkiem, znajdowały się wyższe i niższe, blondynki i brunetki, brzydkie i ładne; wszystkie jednak spełniały, a przynajmniej starały się godnie spełnić zadanie nie lada, które im powierzono. Powiedziano im: — „Idźcie pocieszyć Dzieciątko Jezus!“ — One też pocieszały je jak mogły. Dwie, czy trzy, obdarzone żywszą wyobraźnią, brały tę rzecz nietylko na seryo, ale niemal tragicznie. Dziecię, na które patrzyły, leżące na słomie, nie wydawało im się wcale laleczką z wosku; one w niem widziały dziecko prawdziwe, z krwi i ciałka. A to biedne dziecię złożono w stajence, otwartej na cztery wiatry; jemu pewno jest zimno, ono drży z mrozu nie licząc, że i głodne być musi: to zaś dzieciątka smutne położenie, wzbudzało w nich najczulsze politowanie. Obiecywały w duchu, poszukać między swojemi manatkami, coś ciepłego, aby dziecię przykryć; przyrzekały nabożnie odejmywać sobie od ust kąski najsmaczniejsze, aby je nakarmić i rozmawiały z niem niby młode mateczki, chcące swoje niemowlątko uspokoić lub zabawić. To słodkie, macierzyńskie świergotanie, rodzi się razem z kobietą; każda czuje się matką, nie czekając z tem aż będzie miała własne dzieci. Inne, rozsądniejsze, były cokolwiek zakłopotane; cześć głęboka usta im zamykała i mroziła natchnienie. Zastanawiały się nad tem, iż z Synem Maryi, z Panem nieba i ziemi, nie można rozmawiać jakby z pierwszym lepszym; że do tego trzeba przystępywać z pewną uroczystością; zdawało im się, iż nad czołem dzieciątka widzą aureolę promienistą, dumały nad cudem Bożego Narodzenia, nad wielką tajemnicą Ukrzyżowania, szukały mozolnie po główce, co by Bogu powiedzieć i nic znaleźć nie mogły. Wolno przecież dziewczątkom szesnastoletnim nie wiedzieć i nie być w możności dobrania wyrazów, któremi by miały Boga pocieszać. Jeszcze inne, jeżeli nie mamy niczego zataić, były dość roztargnione; umysł ich błądził po manowcach, myśli bujały, to tam, to owdzie. Na dworze wicher dmący z wściekłością, huczał przeraźliwie, opowiadając im na uszko historye rozmaite, których one rade słuchały. Wiatr, to duch emancypowany, który robi co mu się rzewnie podoba, wieje którędy chce; wynosił on też pod niebiosa rozkosz zupełnej swobody, szczęście bujania na wolności, biegania, póki tchu stanie i łatwo mu przyszło przekonać o tem dziewczątka. Przynosił im również szmer głuchy z miasta wielkiego, po którego ludnych ulicach swobodnie przelatywał, szeptał o tem na co patrzył, opowiadał o świecie, o balach, o wirze zabaw i wszelkich przyjemności, a ten wir, tak je pociągał. Chwilami podmuch silniejszy, groził niemal wywrotem wszech rzeczy i dziewczątka dreszczem przenikał; wyobrażały sobie, iż to zuchwały najeźdźca, snuje się koło murów klasztornych, szukając miejsca sposobnego, by zrobić wyłom, napaść na klasztor i uwolnić z niego wszystkie uwięzione. Nagle zbierały myśli rozpierzchłe; przypominały sobie iż znajdują się w kaplicy, i że w tem miejscu jest coś niewidzialnego, co na nie patrzy. Wtedy na kształt jaskółek, które długo bujając w powietrzu, rzucają się ku gniazdom, z szybkością błyskawiczną, ich myśli skupiały się czemprędzej około żłobka Betleem, a usta mruczały cichą modlitwę, sercem nie odczutą. Jedna z nich miała rączkę prześliczną, bielutką, małą, okrągłą, z paznokciami lekko zaróżowionemi. Kiedy niekiedy oczy jej spoczywały przelotnie na Jezusiku nowonarodzonym, częściej jednak i baczniej wpatrywała się w własną rączkę, spoczywającą niedbale na poręczy krzesła, a której różowe paznokcie, niby coś kreśliły na materyi fotel okrywającej.

Na samym końcu drugiego rzędu, przez pół ukryta w cieniu słupa i o niego oparta, stała jak posąg nieruchoma, młoda dziewczyna, w niczem do reszty panienek nie podobna i która zdawała się zupełnie czemś innem zajęta w chwili obecnej. Nie wlepiała oczu w żłobek bezmyślnie, nie rozmawiała z Dzieciątkiem Jezus i nie starała się Go pocieszać, nie słuchała również, jakie wieści jej wicher przynosi, bo tych wcale nie była ciekawa i na swoją rękę nie patrzyła. Utonęła w zadumie, goniąc myśl jednę, jedyną, która ją wyłącznie opanowała.

Młoda osoba nazywała się Jetta Maulabret i była raczej ładniutka, niż piękna. Twarzyczka jej nie miała linij klasycznych, nikt jednak nie myślał się nad tem zastanawiać. Nie można było przejść koło niej, żeby jej nie zauważyć, a zauważywszy, nie uczuć chęci rozmowy z nią, ktokolwiek zaś raz z nią porozmawiał, rad się był jej podobać. Posiadała dziwny urok, coś tajemniczego, coś nieokreślonego, o czem nie można było zapomnieć, a czego brakuje częstokroć pięknościom pierwszorzędnym. Nos u niej był trochę za krótki, usta trochę za szerokie; za to głowa kształtna, była osadzona na biuście cudownym i poruszała się z gracją niewymuszoną; płeć była świeżości niezrównanej, czoło jasne jak poranek wiosenny, jak kwiat, który tylko co kielich roztworzył. W cieniu jej oczy wyglądały jak czarne, były atoli barwy fiołkowej; spojrzenie tych źrenic zdawało się wracać z daleka, biegło zaś prosto przed siebie niosąc mir całemu światu. Panna Maulabret była pieszczoszką całego klasztoru. Kochały ją niemal wszystkie towarzyszki; od kiedy bo żyła na świecie, z ust jej nie wyszło jedno słówko, które by mogło kogoś dotknąć, lub zasmucić. Nauczycielki ceniły ją wysoko; była to wzorowa uczennica, która nigdy na naganę nie

zasłużyła. Wstąpiwszy najprzód do stowarzyszenia: *Dzieci Bogobojnych*, została następnie zapisana do oddziału *Aniołów*, a nakoniec przyjęta jako »*Dziecię Maryi*«. W roku ostatnim otrzymała dwanaście wyszczególnień, wszystkie nagrody za pilność, za wzorowe zachowanie się, nakoniec wielki medal. Kochano ją, gdyż była słodka i dobra, kochano ją również za jej wesołość, wesołość skowronka, który wzbija się pod same niebo, wyśpiewując w słońcu, raźno i swobodnie. Głos jej był czysty, śrebrny, śmiech jasny i szczery.

Od niedawna jednak, wesołość jej znacznie się zmniejszyła, śmiechem nie tak już szczodrze szafowała. Zaczynała się zastanawiać, a jej myśli nie były wcale barwy różowej. W pewnej epoce życie nas unosi, później, i to całkiem sprawiedliwie, do nas należy umieć je unieść. Panna Maulabret wstępywała w tę drugą epokę i czasami życie jej ciężyć zaczynało. Były co najmniej w jej losie punkta ciemne, które ją drażniły i niepokoiły. Kończyła lat siedemnaście, a nikt nie myślał odbierać jej z klasztoru. Nie czuła się tu wprawdzie nieszczęśliwą, nie myślała jednak pozostać w nim na wieki; mogło się zdawać, iż przestano ją kochać i zupełnie o niej zapomniano, co było dla niej troską niemałą. Zrazu wszelkie wakacye spędzała w domu ojcowskim; od dwóch lat zostawała w klasztorze z sierotami. Tłumaczenia, któremi ją zbywano, wydawały jej się cokolwiek podejrzane, a wszystko niejasne podnieca i zaostrza ciekawość. Od półtora roku jej matka, która przedtem często bywała w klasztorze, wcale się nie pokazywała; powiedziano jej, iż zdrowie i brak sil, zmuszają matkę żyć na Południu. Ojciec odwidzał ją, ale coraz rzadziej, a skoro go o co spytała, urywał nagle rozmowę i wynosił się czemprędzej. Zastanawiała się głęboko nad tem wszystkiem, pewna niemal, iż coś przed nią ukrywają. W rzeczy samej utrzymywano ją najstarannej w zupełnej niewiadomości nader smutnych zajść i wypadków w nabliższej rodzinie. Ojciec jej miewał fiksacye rozmaite; nic nie mogło dorównać jego pomysłom bezładnym, chyba lekkomyślność bezdenna w jego całem postępowaniu. Próbując wszystkiego pod słońcem, uroił sobie zostać rzeźbiarzem. W jego wyobrażeniu był genjuszem, w rzeczywistości posiadał zaledwie słaby talencik z dodatkiem dumy nieposledniej i lenistwa niesłychanego. Mnogie zawody zrobiły go zgorzkniałym i ponurym; stawał się zwolna coraz większym dziwakiem, zgryźliwym i brutalnym, co mu wcale do powodzenia w świecie nie pomagało. Za to, iż był sam do niczego, mścił się nad całem społeczeństwem, a szczególniej pastwił się nad żoną, kobietką bardzo ładną i bardzo zalotną. Rozeszli się wreszcie po przyjacielsku, bez procesu i sądowej separacyi. Wkrótce pani Maulabret wyjechała do Włoch z jakimś adonisem, i dotąd z wycieczki nie powróciła. Rzeźbiarz został sam, złorzecząc niesprawiedliwości ludzkiej, przeklinając los przekorny i dojadając swoją ojcowiznę, z której wkrótce nie zostało i na oka zaprószenie. Byłby mógł zarabiać trochę lekcyami, ale to uważał za coś, co by uwłaczało jego godności. Z próżności umieścił córkę w klasztorze najbardziej arystokratycznym; z próżności uiszczał najsumienniej co kwartał sumę przypadającą za córki wychowanie; i próżność czasem, miewa strony dodatnie. Wolałby umrzeć, niż zdradzić przed córką stan opłakany swego majątku, zniweczenie wszelkich nadziei, rozwianie wszelkich ułud; raczej byłby się przebił sztyletem, niżby się zdobył na szczere wyznanie: — „Jestem we wszystkiem, co przedsięwezmę, nieudolny.“ — Miał powody najsłuszniejsze, nie zabierać córki na wakacye. Mieszkał po prostu w swojej pracowni rzeźbiarskiej, gdzie dni trawił śniąc Bóg wie o czem, z rękami założonemi. Obok była tylko alkowa, gdzie znowu spędzał noce bezsenne.

Przed dwoma tygodniami zjawił się był niespodziewanie w parloarze. Jetta wybiegła na ojca spotkanie. Okazywał jej czułość niezwykłą, nawet ją kilka razy w czoło pocałował. Nie mógł się jej dość napatrzeć, jakby ją dziś po raz pierwszy w życiu zobaczył. Skorzystała z chwili, gdy sami zostali, objęła ojca za szyję, a tuląc się do jego piersi, szepnęła:

— To wszystko ładnie, tatku kochany. Ale kiedyż mnie ztąd zabierzesz, niedobry człowieku?

Nic nie odpowiedział.

— Czy zaraz po Nowym roku po mnie przyjedziesz tatusiu?

— Może..

Spostrzegła, iż mówiąc to, wyglądał zagadkowo.

— Ręczę, że mi tatko chce zrobić niespodziankę. Załóżmy się, że na Boże Narodzenie już mnie tu nie będzie. Co?

— Może...

Nie rzekł więcej ani słowa i szybko się z nią pożegnał. Stanąwszy na progu, odwrócił się, wlepił oczy w tę piękną główkę, w te bujne włosy ciemne, w tę twarzyczkę świeżą, jak owoc barwny i puszysty; zdawało się, iż chce unieść jej obraz w swoich źrenicach.

O tem właśnie myślała teraz panna Maulabret; odtwarzała w pamięci szczegóły tych ostatnich ojca odwidzin, przypominając sobie każde słowo, każdy ruch, każdy uśmiech jego. Pytała się w duchu: — Przyjdzież jutro? — Nie raz już jej oczekiwanie zostało zawiedzione; znała się dobrze na zwodniczych obietnicach, na ułudach pryskających i rozpływających się w powietrzu! na łatwości, z jaką ludzie o najbliższych sobie zapominają i nauczyła się niedowierzać ojcom, którzy mówią:

— Przybędę! — a nie przybywają. Biedne córki tymczasem z rękami i głową zwieszoną, z sercem ciężkiem, jakby się w ołów przemieniło, mają na ustach mnóstwo pytań, któremi się dręczą, a na które w murach klasztornych nie znajdują odpowiedzi.

Długo tak przedumawszy, przymknęła oczy, padła na kolana, głowę wsparła na dłoniach i modlić się zaczęła. Dla wierzących, modlitwa jest wszyskiem, bo ma moc cudowną, jest czemś, co może wstrzymać i zmienić odwieczne prawa natury, może swoją potęgą i świętością, zadać gwałt nawet całej przyrodzie. Nie będąc dewotką, panna Maulabret była głęboko religijną; nikt nie posiadał w wyższym stopniu niż ona daru wierzenia; w tej chwili uroczystej, utonęła w modlitwie całą duszą, oddawała Bogu, co było w niej najlepszego. Gdy skończyła, nabyła radośnej pewności, iż cud stać się musi, że jej słowa uskrzydlone, polecą aż przed tron Tego, który wszystko może, że modlitwą pozyskała tę moc wszechwładną, kierującą słońcami po przestworzu światów, tę moc, która daje życie całej przyrodzie i waży w dłoni losy człowieka.

Podniosła powieki, potrząsając głową, aby odrzucić w tył pukiel włosów, który jej spadł był aż na oczy. Spojrzała na żłobek i zdało jej się, że Dzieciątko Jezus, słodko się do niej uśmiecha, że pasterka nadbiegająca i dla niej niesie odrobinę szczęścia w koszyku, że Trzej Królowie kroku przyspieszają, aby i jej zwiastować dobrą nowinę.

Podziwiała przez chwilę gwiazdę błyszczącą w głębi; gwiazda to przewodnia, rozpraszająca chmury, zażegnująca burze. Duszę jej błogi spokój ogarnął, uczuła w sercu lekkość nadziemską. Była pewna, najmocniej przekonana, iż nic się złego nie stało, że jej nie grozi żadne nieszczęście, że w tej chwili matka właśnie myśli o niej, a ojciec kocha ją tak serdecznie, jak ona jego. Odetchnęła całą piersią, jak ktoś od ciężkiej troski uwolniony. Zdawało jej się, że nigdzie nie może być lepiej niż w tej kapliczce, że to miejsce błogosławione wśród wielu, że powietrze tu cieplutkie, że w niem słychać brzęk rozkosznych nadziei, które kiedy niekiedy dotykają się zlekka czół młodych dziewcząt, ni to motyl barwny, kołyszący się na kwiata kielichu, który to kwiat ani go czuje. Wtedy ulegając chęci niepohamowanej, udzielenia radości serce rozpierającej, pochyliła się nad swoją najbliższą sąsiadką i ściskała ją z całej siły; za to tamta zmierzyła ją od głowy aż do stóp, spojrzeniem pełnem nagany. Natrafiła na tę, która pilnie rękę własną studyowała nie dziw więc iż gdy jej nagle przerwano tak budujące rozmyślanie, była wielce zgorszona i dała jej uczuć niestosowność podobnego postępowania o tej godzinie i w takiem miejscu.

Ktoś zcicha zawołał ją po imieniu; odwróciła głowę. Jedna z sióstr nowicjat odbywających szepnęła jej:

— Proszę iść do Matki przełożonej, która pragnie z tobą pomówić.

Zadrżała, twarz jej zajaśniała rozradowaniem. Któż by ośmielił się wątpić jeszcze? Modlitwa jej została wysłuchana. W chwilę później, wstępywała szybko po wschodach, wbiegła bez tchu na górę, zapukała do drzwi w korytarzu i nie czekając odpowiedzi, otworzyła i weszła. Następnie rzuciła się ku matce Teresie, przełożonej klasztoru i wykrzyknęła:

— Cóż mi pani powiesz?

Te słowa znaczyły: — Nie marudź-że! Niech usłyszę jak najprędzej tą radośną nowinę, którą mi masz zwiastować.

Ale matka Teresa zamiast odpowiedzieć, schwyciła ją za obie ręce, utonęła wzrokiem w tych pięknych oczach, o których nie można było powiedzieć na pewno, czy są czarne, czy fiołkowe i szepnęła:

— Biedna mała!

Panna Maulabret osłupiała, zbita z tropu, uśmiech szczęścia znikł natychmiast.

— Pani zdajesz się ubolewać nademną?... Czyż i tym razem miałby mnie zawód spotkać?

— Nie zupełnie, moje dziecię... Nie omyliłaś się. Porzucisz nas, opuścisz ten klasztor na zawsze.. Czy ci to sprawia tak wielką przyjemność?

— Och! pani — odrzuciła, odzyskując równowagę i zwykłą u niej przytomność umysłu — proszę mnie nie pomawiać o niewdzięczność. Nie umiem być niewdzięczną. Kocham panią serdecznie; byłaś zawsze tak dobrą dla mnie! Kocham również wszystkie nasze najlepsze matki; i one były dla mnie nader łaskawe. Wszyscy tutaj byli dobrzy dla mnie. Kocham ten dom... oh! bądź pani o tem przekonana, zawsze go będę kochała. Wchodząc tu, byłam taka głupiutka; teraz śmiem twierdzić, iż jestem o wiele więcej wykształconą. Od pewnego czasu jednak miałam wielki ciężar na sercu. Zdawało mi się, iż moi rodzice obchodzą się bezemnie z łatwością nadto wielką, że wcale się o mnie nie troszczą, że o mnie zapomnieli, że jestem prawie zupełnie opuszczona. Powiesz pani może, iż byłam szalona i będziesz miała słuszność, bo oto przypomnieli mnie sobie i jutro zapewne przyjadą zabrać mnie ztąd. Otóż!... zdaje mi się, iż tak lepiej będzie... Nieprawdaż, pani, że tak lepiej się stanie?... Pomyśl pani, żem matki mojej blisko dwa lata nie widziała!... Nie jest już na Południu, co?... Czytam to w pani oczach.

Matka Teresa znowu bąknęła:

— Biedna mała!

Pannę Maulabret dreszcz przeszedł i dziwny niepokój ukłół ją w serce.

— Ach! pani — zawołała — błagam zaklinam, powiedz mi...

— Nie pytaj mnie o nic, biedne dziecię! — przerwała jej żywo matka Teresa — Znasz matkę Amelję?

— Nie pani... w życiu jej nie widziałam.

— A przecież to twoja ciotka, siostra rodzona twojej matki Prawda i to, iż od lat dwudziestu jest zakonnicą w klasztorze o bardzo ostrej regule, Jutro zaprowadzą cię do jej szpitalu. Ona ci powie wszystko.

— Pani! pani! co ona mi ma powiedzieć?

Matka Teresa dostawszy instrukcyę z góry, nie dała sobie wydrzeć tajemnicy. Przedstawiła tylko ogólnikowo błagającej, iż na tym świecie nie trzeba liczyć na nic, ani też spodziewać się wszystkiego, że nic tak się nie układa, jak sobie wyobrażamy, że szczęście jest na łasce wypadków rozmaitych, życie zaś trzeba brać seryo, bardzo seryo, ale zresztą trwa ono krótko, wiara zaś uczy nas pokonywać i wychodzić zwycięzko z prób choćby najcięższych. Nakoniec zapowiedziała, iż jej udziela pozwolenia, na przyjęcie podczas Mszy pasterskiej po północy ciało prawdziwego Boga, w Betleem narodzonego, a to jej doda sił i natchnie odwagą w danym razie, tą odwagą chrześcijańską, która pomaga do zniesienia wszelkich ciosów i obchodzi się bez wszelkiej nadziei.

Panna Maulabret słuchała niema i bez ruchu. Była blada jak płótno i głos jej zamarł w piersi; usta drżały febrycznie. Z wysiłkiem zdołała nareszcie wyjąkać:

— Matka umarła prawdopodobnie... Ale mój ojciec.. Zostaje mi ojciec!

Matka Teresa uściskała ją, potrząsając głową żałośnie, i powtórzyła po raz trzeci:

— Biedna mała!

Gdy przechodziła przez kaplicę po północy, aby przyjąć komunię, raz jeszcze spojrzała na żłobek. Dzieciątko Jezus już się nie uśmiechało, w koszyku pasterki było pusto. Trzej Królowie wyglądali smutno i ponuro, gwiazdka migotała niepewnem światełkiem, był to prosty kaganek, dymiący i gasnący.

(Ciąg dalszy nastąpi).

NA ZIEMI MĘCZENNIKÓW

POWIEŚĆ

osnuta na tle stosunków irlandzkich

przez

KAROLA DESLYS'A.

I.

Wetzlar.

Działo się to dnia 19-go Września roku 1797.

W okolicy małego pruskiego miasteczka, nazywającego się Wetzlar, na obu brzegach rzeki Lahn, rozłożyła się taborem zwycięzka armja *Sambre et Meuse*, francuskiej Republiki.

Zwycięzcy wyglądali jednak jakby ich pobito. Żadnych okrzyków radości, nigdzie nie rozbrzmiewała wesoła i hulaszcza nuta piosenki obozowej. Rozmawiano po cichu. Wzrok każdego z osobna kierował się pełen obawy, ku bliskiej górce, u stoku której bieliły się mury domostwa skromnego i przezierającego przez konary rozłożyste drzew owocowych. Tam dogorywał Hoche, armją głównie dowodzący. Nie miał jeszcze lat trzydziesci! Nigdy bieg życia tak krótki, nie mógł być obfitszy w czyny równo wzniosłe; nikt szybciej, niż on, nie przebiegł stopni wojskowych.

Prosty grenadjer w gwardji francuskiej w roku 89, zostawszy niemal równocześnie kapralem i podoficerem, zwracał już uwagę postawą rycerską i wyrazem twarzy genjalnym. Razu pewnego, podczas rewji, gdy defilował na czele oddziału, jedna wielka dama, zwróciwszy na niego wzrok pełen zachwytu, wykrzyknęła mimowolnie: — Coby to był za piękny jenerał, z tego młodzieńca! — W lat cztery niespełna, ziściło się życzenie owej damy.

Montesquieu zastanawia się gdzieś nad ludźmi, którzy podczas rewolucyi umieją na wierzch wypłynąć i niemal jednym rzutem szczytu dosięgają, dzięki wrodzonym zdolnościom. Łazarz Hoche, był jednym z owych losu ulubieńców. Każdy stopień zdobywał czynem bohaterskim, każde odznaczenie było słuszną nagrodą genjalnych jego zdolności. Odsiecz pod Dunkerque nadała mu stopień jenerała i główno - dowodzącego armją Moseli.

Bije na głowę Niemców pod Reischoffen, pod Froeschwiller i Woerth.. trzy miejsca, o których obecnie francuz nie może wspomnieć bez wstydu rumieńca i gorzkiej łzy w oku!... Och! gdyby mógł był zmartwychwstać w roku 1870 duch Hoche'a potężny, byliby znowu francuzi uratowani, jak on wtedy odbił, łamiąc linję bojową, swoją ukochaną, biedną Alzacyę!

Od brzegu Renu, Hoche udaje się na zachód i wkrótce zjednywa sobie miano bohatera, uśmierzającego wojnę domową w Wandei. Rouget de l'Isle, który widział go nazajutrz po bitwie pod Quiberon'em, zostawił nam wspomnienie tej chwili w słowach następujących:

„Gdy ze mną rozmawiał — pisze autor *Marsyljanki* — nie mogłem dość się napatrzeć i nawielbić, tej postawy wspaniałej i obejścia grzecznego, bez cienia niepotrzebnej junakieryi; tych rysów pięknych łagodnych, a pełnych rycerskiego animuszu. Szrama prześliczna, która twarzy bynajmniej nie szpecąc, dodawała jej tylko marsowej powagi, przecinała czoło, przez całą jego szerokość, kończąc się po nad brwią oka po prawej stronie. Zachwycała mnie w tym bohaterze prostota, dziwna harmonia w ruchach i w mowie, organ nadzwyczaj przyjemny, licujący zresztą z wyrażeniem się delikatnem i uprzejmem. Wszystko w nim zdradzało człowieka genjalnego i znakomitego przewódcę.“

Podczas pobytu w Bretanji, powziął był zamiar śmiały wyprawy do Irlandyi. Dyrektorjat upoważnił go do tego. Wsiada zatem na okręty, w dwadzieścia tysięcy żołnierza doborowego, dojeżdża do zatoki w Bantry, widzi niemal tę ziemię, gdzie lud cały wyciąga ku niemu błagalne ramiona, gotów stanąć pod bronią, jak jeden mąż, na zbawcy skinienie... Na nieszczęście, ocean gniewać się zaczyna, grzmi, huczy i rozbija okręty francuskie. Burza straszliwa Anglję wtedy jedynie uratowała.

Hoche jednak trwa w postanowieniu. Zanim mu nową flotę przygotują, rzuca się na przeciwległe Francyi kończyny, obejmuje dowództwo nad armją *Sambre et Meuse* i pod ogniem bateryj nieprzyjacielskich, przechodzi Ren pod Neuwied. W czterech dniach posuwa się naprzód o mil trzydzieści pięć; wystarczają mu owe cztery dni, aby zwyciężyć wroga w trzech bitwach i pięciu mniejszych utarczkach; zatrzymuje się dopiero w pochodzie, na wieść o preliminarjach pokojowych, podpisanych tymczasowo w Leoben przez Bonapartego.

Powodzenie rywala w sławie wojennej, pozbawiło go tryumfów równie świetnych. Żadnej zazdrości, ani cieniu niechęci, lub żalu. Pisze wtedy do żony z najszczerszą radością:

„Pokój zawarty, moja Droga!... Twój mąż zwycięzca zdrowiusieńki, do serca cię przyciska... Pielęgnuj tylko należycie, naszą dziecinkę“

Takim był ów bohater, godny współzawodnik Greków i Rzymian, w ich epoce najświetniejszej Waleczność, bezinteresowność, rycerskść, wspaniałomyślność i ognisty patryotyzm, oto cechy prawdziwej wielkości, odznaczające go w ciągu krótkiego żywota. Jest to przykład, podnoszący ducha, który nas skłania do wyrzeczenia się niejako samych siebie, do najwyższych poświęceń, do cnót wszelkich. Był skromny, był szczery, był dobry. Słów kilka wyżej zacytowanych, dały nam poznać męża i ojca; hojność i gotowość jego w obec towarzyszów broni przeszła do historyi. Do dziś przechowuje się pamięć o niej między ludem, jakby rodzaj legendy. Ktoś mu raz wyrzucał:

— Gdybyś tak na prawo i lewo pieniędzy nie marnował, miałbyś najmniej o dwakroć sto tysięcy franków więcej w kieszeni.

— Ale miałbym o miljon mniej w sercu i pamięci moich przyjaciół — odrzucił.

Znaną jest jego dewiza ulubiona:

— Chcesz li być kochanym, kochaj! — A ponieważ ją wszędzie i zawsze czynem sprawdzał i w życie wprowadzał, ubóstwiali go tak wyżsi oficerowie jak i prości żołnierze. Nienawidził tylko i gniewem się unosił na widok łotrów, samolubów i tchórzów nikczemnych. Tysiące rysów malują jego delikatność, współczucie i litość nad nieszczęśliwymi i pokonanymi. Wrogi nawet, nie mogli mu odmówić czci należnej. Co go odznaczało, jako wodza i organizatora, to pogarda dla wszelkiej rutyny, rzut oka pewny niesłychanie i przeczucie niemal jak działać wypada; rozwaga w przygotowaniach, a szybkość piorunująca w wykonaniu; czynność niezmordowana, rodzaj iskry elektrycznej, którą umiał masy całe do czynu pobudzać i sam na chwilę nie dał odpocząć własnemu genjuszowi, wymyślając coraz coś nowego: „W bezczynności — zwykł był się wyrażać — waleczność rdzewieje“. — A gdy lekarze, zalecali mu życie spokojniejsze, dla poratowania zdrowia nadwerężonego, odpowiadał ze śmiechem:

— Wymyślcie mi każde inne przeciw trudom lekarstwo, byle nie gnuśną bezczynność!

To też nawet podczas zawieszenia broni, nie chcąc odpoczynku, skoczył do Holandyi, aby przyspieszyć uzbrojenie Republiki batawskiej, której flota miała wesprzeć Francyę, w wojnie krzyżowej na rzecz Irlandyi. Zamiar uwolnienia Irlandji z pod jarzma angielskiego, stał się prawie fiksacyą w umyśle Hoche'a i kto wie czy gdyby go mógł był do skutku doprowadzić nie byłby tym czynem unieśmiertelnił imienia swojego po wieki wieków.

Wracał przez Thionville, gdzie przed trzema laty,

w czasis jakiejś uroczystości, poznał młodą osobę, która miała być życia jego najmilszą towarzyszką. Była zupełnie uboga; ale on nie szukał majątku, tylko serca. Aby się co do tego upewnić, oto list, który pisał przed ślubem do młodej panienki:

„Moja najdroższa Adelaido! Węzeł, który ma nas połączyć, dla mnie jest świętym i nierozelwalnym: zwiążemy się nawzajem, nie na chwilę przelotną, ale na zawsze, dobrze się więc nad tem zastanów. Możeś się dotąd nie namyśliła dostatecznie. Uważaj mnie, proszę, jako najzwyklejszego śmiertelnika, nie daj się olśnić blaskiem złudnym częstokroć, którym podoba się gazeciarstwu imię moje otaczać, i chciej wierzyć, że odtąd celem moim najwyższym byłoby uczynić ciebie szczęśliwą. Masz jeszcze czas do namysłu. Jeżeli kto inny potrafił zwrócić na siebie twoję uwagę, powiedz słówko, a cofnę się, zadawalniając się li tytułem twojego szczerego przyjaciela i twoją nawzajem życzliwością Nie wahaj sią ani chwili zwierzyć przed człowiekiem, dość na to szlachetnym i sprawiedliwym, aby nie mieć o to żalu do Ciebie, tylko do losu przekornego. Gdyby jednak serce twoje wolnem było, podziel miłość, którą mam dla ciebie i zostań moją żoną, moją jedyną, najlepszą przyjaciółką. Niech nas nie wiąże przysięga wymuszona, ale chęć dobrowolna, nieopuszczenia się nawzajem, aż do skonu. Jam w życiu nie skłamał: twoje zaś serduszko będzie mi rękojmią, że i Ty o mnie szczerze myślisz i kochasz.“

Jedna tylko córeczka była związku tego owocem. Hoche zabrał ją z sobą wraz z matką do Wetzlar, w nadziei, iż słodkie roskosze życia na łonie rodziny, sprawią mu pewną ulgę, w cierpieniu dziwnem, niepojętem, które go od roku trawiło. Pierwsze symptomaty uczuł w Brest, wychodząc z uczty, na cześć jego wyprawionej. Wiedziano, iż złoczyńcy, na życie jego czyhają; zaczęto z cicha przebąkiwać o możebnem otruciu Nie był-że najdzielniejszym obrońcą wolności, najstraszniejszym i nieprzejednanym wrogiem Anglji? Koniec końców, nadaremnie wysilali się lekarze, nadaremnie walczyła z cierpieniem jego natura czerstwa i niespożyta, choroba tajemnicza nie ustępywała. Wyjechał w opłakanym stanie zdrowia. Przyjęcie pełne szczerego zapału przez jego żołnierzy, radość, że znowu znajduje się pomiędzy serdecznymi druhami i przyjaciółmi, starania najczulsze młodziutkiej żony i dziecka pieszczoty niewinne, wlały w serce jego pewną otuchę i zdawało się nawet, że zdrowie odzyskuje. Odwidzając dla rozrywki Frankfurt podczas wielkiego jarmarku, spotkał się tam przypadkiem z jakimś sławnym szarlatanem, którego „Środki uniwersalne“ — użyte w sekrecie, zrazu okazały się dość skuteczne. Zdawał się uratowanym. W kilka dni atoli, zapadł na nowo i tym razem nie miał się więcej podnieść z łoża boleści.

Kaszel suchy piersi mu rozrywał, gorączka trawiąca paliła, dostawał napadów okropnych, wpadał w kurcze konwulsyjne. I w tej chwili, straż liczna, pilnująca domku, słyszała wychodzące z wnętrza izby jęki straszliwe, niby ryk lwa zranionego i krzyk pełen rozpaczy, który przeszedł do historyi.

— Czyż oblokłem zatrutą szatę Nessusa!

Po ataku ostatnim, niemoc śmiertelna go opanowała. Usnął.

Wszyscy odeszli. Jedna tylko kobieta czuwa nad chorym.

Jej młodość i piękność czarująca, bladość oblicza, trwoga malująca się w oczach łez pełnych, zdradza godną towarzyszkę bohatera dogorywającego, panią Adelaidę Hoche.

Od pięciu dni i tyleż nocy, zaledwie dała się namówić do chwil kilku odpoczynku, na prostym tapczanie żołnierskim postawionym w rogu izby.

Skromna to, prawdziwie niemiecka izdebka. Stół i stołki drewniane, na zielono polakierowane, zegar z kukułką norymbergski, którego nikt nakręcać nie myśli; na stole porozkładane plany i mapy jeograficzne, mnóstwo raportów wojskowych w nieładzie porozrzucanych. Mapa Irlandyi, nadzwyczaj dokładna, leży w nogach wodza, na łóżku.

Na podłodze, rozciągnięto gruby i miękki kobierzec; obłożone poduszkami, bawi się na ziemi maleństwo roskoszne, istny aniołeczek mający dwa lata niespełna. To córka jenerała.

Nigdy nic jej ruchów swobodnych nie krępowało. Nie znała pierzyn, ani powijaków: taką była wola ojca nieodwołalna. Siedzi i teraz w jednej koszulince. Włosy z natury układają jej się w śliczne loczki i pukielki. Uczucie rzewne i wyższą inteligencyą zdradza uśmiech, na świeżych usteczkach igrający, okazują to także oczka bystre i figlarne, a jak niebo włoskie lazurowe.

Skoro ruszy się dziecinka, skoro czem zaszeleści, matka kładzie palec na usta... i dziecko się ucisza, jakby rozumiało o co idzie.

Chory zaczyna się we śnie niepokoić. Marzy o czemś i mówi głosem urywanym:

— Bantry!... Zatoka w Bantry!... Irlandya!...

— Zawsze ta jedna myśl!... Wiecznie!.. — szepce z ciężkiem westchnieniem młoda kobieta, uwagę wytężając.

Chory rzuca się po łóżku, w kurczach gwałtownych... Słowa jak grad z ust mu lecą bezładnie.. wreszcie żona łowi uchem urywane wyrazy: — Wolność!... wolność!... zwycięztwo!...

Podniósł się nagle i obudził.

II.

Dwa Typy.

Hoche nie jest już owym młodym, pięknym, pełnym życia i zapału pogromcą z pod Altenkirchen i Wissemburga. Rok jeden cierpienia starczył za lat kilkadziesiąt. Twarz chudą okropnie, pokrywa bladość trupia. W jamach głębokich oczy świecą blaskiem ponurym. Wzrok jednak, wyraz fizjognomji, postawa cała, imponuje jak dawniej. Ma w sobie ową piękność serce rozdzierającą, owe piętno wielkości, którem Bóg w chwilach ostatnich znaczy czoła swoich wybranych.

Wierna towarzyszka jest przy nim, jak zawsze nieodstępna, trzyma go w objęciu i badać się zdaje wzrokiem pełnym trwogi i miłości. — Lepiej mi... znacznie lepiej... nie lękaj się niczego... przy tobie najdroższa, przy naszej dziecince, mogę zawołać razem z Mariusem: „O! boleści! nie jesteś cierpieniem!“

Maleńka zwolniona z wszelkiego przymusu, zbliżyła się do łóżka, z bukietem róż w rączkach. Idąc za serca popędem, matka podniosła ją w górę i podała umierającemu.

Drżąc z radości, tulił ją namiętnie do piersi wyschniętej i obsypywał pieszczotami. Dziecina śmiała się

bezmyślnie, matka zaś tłumiła w sobie, jak mogła, łkania spazmatyczne.

Żywo poduszki poprawiła. Hoche prawie siedząc na łóżku, trzymał przed sobą maleństwo, trzepocące jak ptaszek nóżętami i głaszczące drobnemi rączkami ojca twarz żółtą i zapadłę.

— Jenny! — przemówił biedny głosem słabym. — Moja śliczna, maleńka pieszczotko!... Ach! jakże pragnąłem doczekać, byś wzrosła!... Jeżeli ci tylko matka zostanie, szanuj ją... nie z bojaźni, ale z miłości.. Słuchaj jej zawsze. Kochaj ją z duszy całej, nie za cukierki, które ci daje, dziecino, ale dla tego że to matka twoja! Potrafi cię wychować, tak, jak to ułożyliśmy między sobą, prowadząc cię, kierując tobą, łagodnie i z rozumem... Nie będziesz pokorną niewolnicą, ani też kobietą zimną i roztrzepaną... Wyrośniesz na panienkę zacną, wykształconą i rozsądną, nienawidząc i brzydząc się kłamstwem i występkiem, a umiłowawszy wcześnie cnotę i prawdę. W spuściźnie zostawię ci tylko imię nieskalane... musisz je godnie nosić moje dziecię!

Słowa te autentyczne, rady i napomnienia, tyczyły się matki w szczególności. Wiadomo z listów Hoche'a, jak wielkie znaczenie przywiązywał tak do wykształcenia kobiet, jak i mężczyzn, kładąc nacisk na to najwięcej, co mogło wcześnie rozwinąć w duszy i umyśle młodocianym, siłę charakteru, prawość i szczerość.

— Mężu najdroższy! — młoda kobieta głucho załkała — ależ ty ją wespół ze mną wychowasz!... Uratujemy ciebie!... Bóg nam nie wydrze życia tak niezbędnego!...

— Och! — czule zawołał — ja bym wcale nie chciał was opuszczać!... nie spieszno mi umierać!...

I w jednym uścisku połączył matkę z dzieckiem.

Wzruszenie o mało nowej kryzys nie sprowadziło. Siłą woli zapanował nad cierpieniem.

Uśmiechnął się z dumą:

— Widzisz — rzekł — choroba, to także wróg, którego trzeba się starać zwyciężyć... Miejmy więc nadzieję! Pokój zdaje się być na czas dłuższy zapewnionym... Jeżeli w istocie potrzeba mi spoczynku, a nic nie będzie groziło sprawie wolności i mojej ojczyźnie, wyrzeknę się chętnie sławy.. Tak jest, dla was, moje najukochańsze, gotów bym jak Cincinnatus wrócić do pługa... Będziemy żyli nieznani... będziemy szczęśliwi!

Milczenie zapanowało, a myśl ich zajęła się wyłącznie tą błogą i roskoszną przyszłością, tą ziemią obiecaną, którą niebo pozwoliło im, jak niegdyś Mojżeszowi, oglądać w duchu.

Nagle chory oglądnął się w koło.

— A gdzież jest Humbert? — zapytał.

— W Frankfurcie — żona odrzekła. — Widząc cię więcej cierpiącym, pojechał po tego żyda lekarza..

— Po Herodiasa! — wykrzyknął jenerał — Po tego, który mnie wyleczyć obiecuje?

Młoda kobieta drgnęła przerażona.

— Obiecałeś mi! — ręce błagalnie złożyła — że nie przyjmiesz od tego człowieka żadnego napoju, nim go zobaczy i zbada należycie Poussielque!...

Poussielque, był pierwszym lekarzem w armji *Sambre et Meuse*, a przytem duszą i ciałem oddany jenerałowi Hoche.

— Obietnicy i teraz nie cofam... Poussielque rozbierze chemicznie ten napój cudowny, te krople długiego życia, spreparowane przez Herodiasa . Ach! ach! ten poczciwiec Humbert nie miał cierpliwości czekać, aż sam nadjedzie. Poznaję go po tym czynie... zawsze popędliwy, jak siarka! Gotów unieść na koniu szarlatana, wraz z jego miksturami!

— Złote to serce! — młoda kobieta głową skinęła— i kocha cię szczerze.

— No! spodziewam się! nie w jednej bo też bitwie krew nasza się pomięszała.. Dziecię ludu jak ja; wszędzie mi towarzyszył: nad Renem i nad Loarą, nawet do zatoki w Bantry... Jeżeli bym tam nie miał powrócić, on mnie zastąpi... Humbert zna wszystkie moje plany... Ufam mu najzupełniej... jednej myśli przed nim nie zataiłem.. Tak jest, zobaczysz jednego z nas biedna Irlandyo! i musimy cię wyswobodzić z pod jarzma angielskiego!

Wzrok bohatera skierował się teraz na mapę Irlandyi, na kołdrze rozłożonej Dziecina nie ruszyła się z łóżka. Wzięła znowu w rączki bukiet z róż. a obrywając z nich wonne listki, obsypywała niemi z rozkosznym uśmieszkiem długie, wychudłe ręce ojca.

Przyszedł nowy atak. Chory się wyprężył, potem zwinął w kłębek, w strasznych kurczach. Chwytał się za piersi, za boki. wydając głuche jęki i skargi bolesne:

— Ach!... za wiele!.. za wiele!... męki piekielne!... nie do zniesienia!.. Gdzież ten Herodias!... Niechże by mi dał coś na uśmierzenie, lub na śmierć wreszcie!...

— Mężu! Mój najdroższy! — krzyknęła żona w trwodze najwyższej. — Pamiętaj o twojej obietnicy!... Wiesz, mówiono!... przestrzegano cię przed trucizną!..

Ostatnie wyrazy. uderzyły chorego... kryzys przechodziła, odzyskiwał przytomność.. Zamyślił się szepcąc:

— Trucizna!.. A może to i prawda?...

Mała Jenny wpatrywała się w ojca swojemi dużemi, cudnemi oczętami, szczebiocąc po dziecinnemu, słowa przekręcone, niewyraźne, a tak jednak słodko brzmiące w uszach rodziców! Gdy wołał o pomoc, o ulgę, pozbierała naprędce część zabawek i papiery, które przedtem mięła w kułeczkach zaciśniętych, chcąc się owemi pięknościami z ojcem podzielić, byle się tylko uspokoił.

— Cóż ty mi podajesz maleńka? — uśmiechnął się chory z wysiłkiem, biorąc z jej rąk zmięty papier. Był to list jakiś. Rozprostował, wygładził i czytać zaczął. Żona przez jego ramię, pismo obce wzrokiem przebiegała.

— Zdaje mi się — rzekła — iż ten list miałam już w ręku. Nie jest - że on jednym z tych, które znaleziono w kieszeniach młodego emigranta?

— Tak jest, w rzeczy samej

— Darujesz mu życie, nieprawdaż, mój najdroższy?

— Może! — odpowiedział — ale musi mi wprzód wytłumaczyć znaczenie tego frazesu.

— Któregoż to?

Hoche wskazał palcem miejsce napisane.

— Powiedz, duszko, adjutantowi, żeby go natychmiast do mnie wprowadził.

Przeczytawszy frazes, przez męża wskazany, pani Hoche zbladła jak chusta i drgnęła nerwowo.

Spełniła jednak rozkaz natychmiast.

(Ciąg dalszy nastąpi

NAPOLEON BONAPARTE

przez

H. Taine'a.

Jeżeli chcemy pojąć dokładnie gmach o zawiłej budowie, należy przedewszystkiem uprzytomnić sobie trudności, wśród jakich powstał, środki zużyte ku temu, gatunek i rodzaj rozporządzalnych materyałów, chwilę, okoliczności, konieczność wreszcie, powołującą go do życia; dalej, trzeba jeszcze rozważyć genjusz i smak wrodzony architekta, oraz wzgląd, czy jest on właścicielem budynku, czy, wzniósłszy go na własny użytek, potrafił dom cały zastosować do celów swych i upodobań. Takim właśnie jest gmach społeczny, założony przez Napoleona Bonaparte; budowniczy, właściciel i główny mieszkaniec, on to między rokiem 1799 a 1814 stworzył Francyę współczesną. Nigdy przedtem charakter pojedyńczego człowieka nie wycisnął równie głęboko piętna swego na dziele zbiorowem. Chcąc je pojąć, należy wpływ ów zbadać gruntownie.

I.

Wybujały, niezwykły pod każdym względem, przewyższa on nietylko otoczenie, ale i ramy swojego wieku. Zarówno temperament, instynkt i zdolności, jak wyobraźnia, namiętne usposobienie i poczucie moralne, zdają się wskazywać, iż stworzony został na odrębną modlę i z innego, niż jego współobywatele i cała ówczesna generacya, ulany kruszcu. Nie jest widocznie ani Francuzem, ani człowiekiem XVIII-go stulecia; jeden rzut oka wystarcza, aby w nim poznać cudzoziemca, Włocha, z domieszką jakiegoś obcego żywiołu, który, wyróżniając go nad innych, wyklucza możliwość wszelkiego porównania, wszelkiego do współczesnych podobieństwa. Syn starego włoskiego gniazda, odziedziczył krew toskańską przez ojca, przodków jego bowiem odnajdujemy od XII-go wieku najpierw we Florencyi, później w San-Miniato i Sarzana, małem, zapadłem miasteczku za Genuą położonem. Odosobnieni od ruchu świata, nieznani pędzą tu oni cichy żywot, wydając cały szereg notaryuszów i syndyków rady miejskiej. „Wskutek pochodzenia mego“ — opowiada sam Napoleon — „Włosi uważali mnie zwykle za swego rodaka... Gdy powstał projekt małżeństwa między siostrą moją, Pauliną, a księciem Borghese, zarówno wśród rodziny jego, jak sprzymierzeńców w Rzymie i Toskanii, jeden tylko brzmiał okrzyk: „Dobrze, bardzo dobrze, związek stosowny, bo to nasz ród przecież.“ Później, gdy papież wahał się, czy ma jechać koronować nowego cesarza, stronnictwo włoskie odniosło zwycięztwo na posiedzeniu konklawe, poruszając narodową miłość własną — uwagą: „O cóż chodzi? Wszak czynem tym narzucimy barbarzyńcom rodaka, oddamy rządy nad nimi w ręce rodziny włoskiej, pomścimy krzywdy od Gallów doznane.“ Jedno to słówko znaczące, ileż rzuca światła w najgłębsze tajniki duszy włoskiej, tej najstarszej córy cywilizacyi współczesnej, córy, przejętej poczuciem swego pierworodztwa, mściwej i upartej w urazie ku zaalpejskim sąsiadom, dziedziczki nietylko nienawiści i dumy rzymskiej, ale również starożytnego jej patryotyzmu.

Jeden z Bonapartych, opuściwszy Sarzana, przeniósł się w roku 1529 do Korsyki i założył tamże nowe dla rodziny ognisko. Wkrótce później Florencya zwyciężona poddać się musiała. Odtąd Aleksander Medicis i Kosma I. w Toskanii, panowanie zaś hiszpanskie we Włoszech — znoszą niepodległość miast. Wojny domowe, fajerwerki awantur politycznych szczęśliwych zaborów, rządy księstewek krótkotrwałych, wznoszonych siłą lub oszustwem, ustępują wobec trwałego ucisku i zwycięztwa zasady monarchicznej, zapewniającej krajowi względny chociaż spokój. W chwili więc, gdy energia i ambicya, gdy siła i życiem wrząca krewkość średnich wieków zaczęły upadać, wysychać, jak sok ożywczy w zbyt wybujałej łodydze, młodsza gałązka odrywa się, a uniesiona wichrem na grunt jej obcy, idzie zapuścić korzenie wśród wyspy włoskiej wprawdzie, lecz nawpół dzikiej jeszcze, barbarzyńskiej, ilustrującej urządzeniami swemi, obyczajami i namiętną burzliwością, pierwszą epokę cywilizacyi, atmosferę społeczną o tyle ostrą, iż młoda latorośl, utrzymująca się wśród niej przy życiu, musiała wyrobić w sobie szorstką może lecz niezłomną samoistność. Siła ta wzmocnioną została jeszcze przez umiejętne szczepienie odłamów owej gałązki na dzikich plonkach wyspy; kilkakrotne małżeństwa połączyły pień nowy z temi, co oddawna na ziemi tej wzrosły, to też przez linię macierzystą, przez babkę i matkę. Napoleon czystym był krajowcem. Pierwsza z nich pochodziła z rodziny Pietra-Santa, zamieszkującej okolicę tak nawskróś korsykańską, iż zemsty dziedziczne i słynne *vendetty* przypominały tam w roku 1800 jeszcze straszne walki XI-go wieku, gdy wojny ustawiczne wśród rodzin nieprzyjaznych sobie zawieszane były jedynie na czas chwilowych rozejmów, gdy w wielu wioskach chodzono tylko uzbrojonemi bandami, domy zaś przedstawiały małe warownie. Matka jego, Letycya Ramolino, której charakter więcej niż ojcowski oddziałał na syna, przedstawiała wszystkie właściwości duszy pierwotnej, nieprzystępnej wpływom cywilizacyi; pełna prostoty, jakby ze spiżu wykuta, twarda i niezdolna do giętkości przez świat wymaganej, nie umiała pojąć czaru zabawy lub uroku życia, rozrywkom poświęconego; obojętna nietylko na dostatek, ale na czystość nawet, skąpa jak prosta chłopka, lecz dzielna i energiczna jak naczelnik stronnictwa, silna duchem i ciałem, przyzwyczajona do niebezpieczeństw, jednem słowem, istna „Kornelia nowoczesna.“ „Znużenie, niewygody, klęski, znosiła wszystko“ mówi Napoleon — „wszystkiemu umiała stawić czoło. Męzka głowa szła tu w parze z organizmem kobiety.“ Nic dziwnego, iż syn takiej matki od urodzenia do chwili zgonu czuł się prawdziwem dziecięciem swego szczepu i kraju.

(Ciąg dalszy nastąpi).

PONURA

OBRAZEK.

W wigilię św. Mikołaja, krata więzienia w X. otworzyła się, by wypuścić kobietę mającą lat blisko trzydzieści. Ubrana była w wełnianą, wypełzłą suknię, z chusteczką na głowie, która dziwacznie okalała bladą jej twarz, nalaną tym żółtym tłuszczem, jaki się zawsze rozwija w więzieniu.

Towarzyszki nazywały ją tam »Ponurą«. Skazana była za dzieciobójstwo; sześć lat temu właśnie wóz więzienny przywiózł ją do miejsca pokuty. Dzisiaj, zebrawszy manatki i odebrawszy w kancelaryi sądowej swój zarobek, znalazła się nakoniec wolną, z paszportem do P. w kieszeni.

Pociąg do P... już odjechał. Onieśmielona, niezgrabna, potykając się ciągle, zwróciła kroki ku głównej karczmie w okolicy, gdzie niepewnym głosem prosiła o przytułek na noc. Karczma była zapełniona — i gospodarz, któremu nie bardzo się chciało przyjmować takich ptaszków, pora-

dził jej, by poszła do szynku, położonego na drugim końcu ulicy. »Ponura« odeszła jeszcze bardziej onieśmielona i pomięszana, by zastukać do drzwi szynku, który w rzeczywistości był po prostu sklepem, w którym sprzedawano wódkę dla robotników. Szynkarka spojrzała na nią okiem nieufnem i przeczuwając prawdopobnie kobietę z więzienia, oświadczyła, iż nie przyjmuje gości na noc. Ponura, nie śmiała nalegać, odeszła ze spuszczoną głową i głuchą w sercu nienawiścią do tego świata, który ją odpychał. Nie było rady; musiała iść piechotą do P... W grudniu noc prędko nadchodzi i nie długo znalazła się otoczona ciemnością na białawej drodze, ciągnącej się wzdłuż lasu, na której wiatr północny silnie dmuchał, podnosząc na wszystkie strony tumany śniegu.

Po sześciu latach życia zamkniętego i siedzącego nie umiała chodzić. Kolana jej zesztywniały; nogom, przywykłym do chodaków, ciężyły nowe buciki. Przeszedłszy milę, miała pęcherze na nogach i uczuła się bardzo zmęczoną. Usiadła na kamieniu, drząc cała i pytające siebie, czy nie przyjdzie jej podczas tej ciemnej nocy i na wietrze, który mroził, umrzeć z głodu i chłodu. W tem zdało jej się, że wśród samotności drogi, po przez wycie wiatru, słyszy przeciągły śpiew. Słuchając uważnie, poznała, iż była to jedna z tych piosnek pieszczotliwych i monotonnych, któremi się usypia dzieci. Wstała i idąc w stronę głosu, zobaczyła na zakręcie poprzecznej drogi światło, błyszczące między gałęziami drzew. W pięć minut później doszła do chaty, ulepionej z gliny, której dach pokryty był słomą, a jedyne okienko przepuszczało promień światła. Z bijącem sercem zdecydowała się zastukać. Śpiew ustał i wieśniaczka otworzyła drzwi. Była to kobieta tegoż wieku co Ponura, ale zmęczona i postarzała od pracy.

Kaftan jej podarty w kilku miejscach, odkrywał ciało opalone, koloru ziemistego; włosy rudawe wymykały się z pod chustki bawełnianej, oczy siwe patrzały z zadziwieniem na obcą, w której twarzy było coś niezwykłego.

— Dobry wieczór — rzekła podnosząc do góry kaganek, który trzymała w ręku. — Czego sobie życzycie?

— Już nie mam siły — szeptała Ponura głosem, w którym słychać było łkanie; — do miasta daleko i gdybyście chcieli mnie przyjąć na noc, oddalibyście mi usługę... Mam pieniądze i zapłacę za wasz trud.

— Wejdźcie! — odezwała się tamta po chwili wahania, a potem dodała z wyrazem zadziwienia raczej niżeli nieufności: — Czemu nie zostaliście na noc w X?

— Nie chciano mnie tam przyjąć. I spuściwszy niebieskie swe oczy, dodała czując pewne skrupuły: — Bo widzicie, ja wychodzę z więzienia, a to nie wzbudza u ludzi zaufania.

— A!... Wejdźcie jednak... Ja niczego się nie boję, bo nie miałam nigdy nic, prócz nędzy... Trzebaby być bez sumienia, aby zostawić chrześciankę na dworze w takie zimno... Zrobię wam z suchego liścia łoże. — Wzięła pod szopą liści i rozesłała je w kącie pod kominem.

— Sami tu mieszkacie? — spytała nieśmiało Ponura.

— Tak, z moją małą, która ma siódmy rok... Zarabiam na życie pracą w lesie.

— Człowiek wasz umarł?

— Nie miałam go nigdy — odpowiedziała krótko; biedna mała nie ma ojca.. Zresztą, każdy ma własną biedę... Otóż i łóżko wasze przygotowane, a tu kilka kartofli pozostałych z kolacyi. To wszystko co wam mogę ofiarować. — Przerwał jej głos dziecka, wychodzący z czarnego kąta, oddzielonego ścianą z desek.

— Dobra noc — rzekła — idę do małej, która się boi. Śpijcie z Bogiem. — Wzięła kaganek i weszła do drugiej izdebki, zostawiając Ponurą w ciemności.

Ta położyła się na owem łożu. Zjadłszy, próbowała zamknąć oczy, ale sen nie przychodził. Przez ścianę z desek słyszała przyciszoną rozmowę kobiety z małą, która obudzona przybyciem obcej, nie chciała na nowo zasnąć. Matka ją pieściła i całowała, przemawiając do niej czule, co dziwnie wzruszało Ponurę.

Te wybuchy czułości budziły niewyraźne instynkta matki w duszy kobiety, która była skazaną za uduszenie swego nowonarodzonego. Myślała sobie, że „gdyby rzeczy nie były poszły tak źle,“ jej mały byłby teraz w wieku tego dziewczątka. Na tę myśl, na dźwięk tego dziecinnego głosu, dreszcz ją przebiegł i uczuła wielką ochotę do płaczu.

— No, moja malutka — mówiła matka — staraj się zasnąć teraz; jak będziesz grzeczna, zaprowadzę cię jutro na jarmark do X. bo jutro św. Mikołaja.

— Świętego Mikołaja? To święto małych dzieci, prawda mamo?

— Tak, moja kochana.

— Czy to prawda, że tego dnia święty Mikołaj przynosi dzieciom zabawki?

— Tak... czasami.

— Dlaczego on do nas nigdy nie przychodzi?

— Mieszkamy zadaleko, a potem.. potem jesteśmy nadto ubogie

— Więc on przynosi tylko bogatym?... Dlaczego?... Ja także lubiłabym zabawki.

— No, dobrze! Kiedyś, jak będziesz grzeczna... jeżeli spokojnie zaśniesz, może ci co przyniesie.

— O! to będę spała, żeby mi jutro coś przyniósł. — Cisza. Potem oddech równy i lekki. Dziecko zasnęło i matka także. Ponura tylko nie spała. Wzruszenie silne i miłe zarazem ściskało jej serce i więcej niż kiedykolwiek myślała o tem dziecku, które udusiła...

Trwało to aż do świtu... Wieśniaczka i dziecko jej spały mocno. Ponura wyszła z chaty i podążyła szybko drogą do X. gdzie zatrzymała się dopiero przy pierwszych domach. Dalej szła już pomału jedyną ulicą, przypatrując się znakom na magazynach. Jeden z nich nakoniec zwrócił jej uwagę. Zastukała do okiennicy i kazała sobie otworzyć. Był to sklepik korzenny, w którym znajdowały się także zabawki dziecinne, nędzne i nieświeże: lalki z kartonu, arki Noego, owczarnie. Ku wielkiemu zdziwieniu właścicielki sklepu, Ponura kupiła wszystko, zapłaciła i wyszła.

Wracała do mieszkania wieśniaczki, gdy uczuła czyjąś rękę na ramieniu. Obróciła się i zadrżała, znalazłszy się naprzeciwko żandarma. Nieszczęśliwa zapomniała, że zabronionem jest uwolnionym przebywać w okolicy więzienia!...

— Zamiast włóczyć się tutaj, powinniście już być w P. — powiedział srogo żandarm... — Dalej w drogę!... Chciała się wytłómaczyć...

Daremny trud!... W mgnieniu oka wynaleziono wózek, kazano jej wsiąść pod eskortą żandarma — i woźnica zaciął konia.

Wózek toczył się, podskakując po zmarzniętej drodze. Biedna Ponura ściskała z miną głęboko zasmuconą swoją paczkę z zabawkami w skostniałych rękach. Przy zawrocie, poznała drożynkę, prowadzącą do lasu; serce jej drgnęło i błagała żandarma, żeby się zatrzymał, bo ma interes do ko-

biety, mieszkającej tam, o dwa kroki. Błagała tak usilnie, że żandarm, dobry w gruncie człowiek, dał się zmiękczyć. Przywiązano konia do pnia i poszli razem drożynką.

Przed drzwiami wieśniaczka rąbała drzewo. Widząc swego gościa w towarzystwie żandarma, stanęła przerażona z ustami otwartemi i zwieszonemi rękami.

— Cicho! — rzekła Ponura. — Czy mała spi?

— Tak... ale...

— Zanieście pocichuteńku te zabawki na jej łóżko i powiedzcie, że to święty Mikolaj jej przyniósł... Wróciłam do X. żeby je nabyć. ale zdaje się, że nie miałam do tego prawa; odprowadzają mnie do P...

— Matko najświętsza! — zawołała wieśniaczka.

— Cicho!

Zbliżyli się do łóżka, zawsze pod eskortą żandarma. Ponura rozrzuciła po tapczanie lalki, arkę Noego i owczarnię, pocałowała ramię odkryte spiącego dziecka i zwracając się do żandarma, który sobie tarł oczy, rzekła:

— Teraz możemy jechać.

T.

GWIAZDKA

Pogadanka.

Lwów dnia 15. Grudnia 1887 r.

Za dni kilka przyjdzie na świat dziecię wątłe na ciele, ale duchem silne, drobne pod względem fizycznym, lecz sercem wielkie, nieporadne, gdy je św. Rodzicielka na sianku ułoży, ale niezwyciężone w swoim rozumie. I stanie między nami, trzymając w drobnej rączce oliwną rószczkę pokoju, i głosem, który będzie słyszany na wszystkich ziemi krańczynach, w te słowa przemówi:

— Pokój wam, ludzie dobrej woli! Ojciec mój przysłał mnie do was, bym wam zwiastował to, co na niebie i na ziemi jest najszczytniejsze — miłość! Kochajcie się więc jak bracia i pamiętajcie, że tylko drogą miłości dochodzi się do Boga!

Tak nam powie nasz Zbawiciel mały, a my wejdziem w siebie i ciepłem miłości ogrzejem najbliższych, by cały nasz naród przemienić w jednę wielką rodzinę, której wszyscy członkowie kochają się i nawzajem wspierają.. O! bo tej miłości więcej niż kiedykolwiek własnie dziś nam potrzeba! Wszak wszystkie siły piekielne przeciw nam powstały, grożąc imieniowi polskiemu śmiercią i zagładą. Tu popadamy w coraz większą nędzę materyalną — obok gnębią naszą wiarę i tłumią każdą myśl swobodniejszą, dalej zaś, tam na kresach, wołają; *Ausrotten!* I oto z wszystkich szkół zabrali nam już nasz język, teraz chcą nawet dziatwie nieletniej głosić słowo boże w mowie całkiem jej obcej, a z ziemi starej, piastowskiej, którą przez lat tysiąc orał pług polski, usiłują nas wypędzić! Zapomnieli jednak o tej prawdzie niezbitej a przez dzieje tylokrotnie stwierdzonej, że gdy w jaki naród żywotny srogie biją pioruny, wtedy w jego dzieciach miłość do ziemi ojczystej i do języka macierzyńskiego, coraz silniejszym bucha płomieniem, a że z jednej tylko miłości nowe życie powstaje, więc mimo klęsk i zawodów, mimo wysiłków naszych nieprzyjaciół, pełni wiary w przyszłość wołamy:

— *Sursum corda!*

* * *

Aniołek zadzwonił, drzwi się otwierają i widok cudowny o wzrok nasz uderza.

Tam, na środku salonu, jakby z ziemi wyrosło, stoi drzewko zielone, całe w świetle skąpane. Sto świeczek, jak sto gwiazd, płonie na jego gałązkach... Między niemi ileż tam rzeczy pięknych, a ile smacznych! Tu, na jedwabnych wstążeczkach, wiszą złote orzechy, pomarańcze jabłuszka, szyszki srebrne, cukierki, figi, daktele, pierniki różnobarwnym maczkiem posypane; wyżej widać lalki strojne jak królowe, żołnierzy na koniach, piszczałki, harmonijki; na dole wiszą sukienki i pończoszki, chusteczki i trzewiczki, książki i kajeciki, pod drzewkiem zaś stoi wielki koń na biegunach, kolyska z dużą lalką, której oczy same się poruszają, batożek i bęben z dwiema pałeczkami.

— Choinka! Choinka! — dzieci zawołały i w dłonie klaszcząc, wbiegły do pokoju.

Ich oczy skrzą się radością, serduszka im biją, lecz usta mówić się boję, by nie stało się jak w owej bajce, w której przed jednem słowem nieopatrznie wypowiedzianem, cały obraz pierzcha. Okrążają tedy drzewko, cieszą się w dłonie klaszcząc i dopiero gdy z cudownym widokiem ich wzrok się oswoi, pytają mamy co z nich które od Bozi dostanie. A mama prowadzi je za rączki, stawia przed drzewkiem i palcem rozmaite przedmioty pokazując, mówi co Jadzia otrzyma, a co mniejsza od niej Helenka. Potem bierze dwie książeczki i zwracając się z niemi do starszych chłopczyków, w te słowa przemawia:

— Ty, Mieciu, ponieważ już skończyłeś lat ośm, dostaniesz „Serce", prześliczne dziełko pierwszego dziś pisarza włoskiego, Edmunda d' Amicisa, które oby się znajdowało w rękach każdego dziecka dorastającego. Ono cię nauczy kochać rodziców, przyjaciół i kolegów, ono ci powie, w jaki sposób powinniśmy oddawać cześć ludziom zasłużonym, jak należy szanować pracę uczciwą i ten wielki przybytek wzniesiony dla dobra ludzkości który się szkołą nazywa; z niej dowiesz się także jak ważną rolę odgrywa serce we wszystkich chwilach życia naszego i jakeśmy je kształcić powinni, jeźli chcemy zasłużyć sobie kiedyś na nazwę ludzi zacnych.

Miecio pocałował mamę w rękę, a teraz ona do drugiego syna się zwracając, rzekła:

— Ty zaś, Władziu, otrzymasz te oto „Dzieje polskie" opowiedziane wierszem przez twego imiennika, p. Władysława Bełzę. Książka to niewielka, lecz jaka treściwa! Prócz tego zdobi ją 39 wizerunków Królów polskich. Przypatruj im się co dzień dziecino kochana, niech ich fizyognomje wyryją się głęboko w twojej pamięci, abyś wiedział, żeś się polakiem urodził i że dobrym polakiem musisz umrzeć!

Podczas gdy matka tak mówiła, chłopczyk książeczkę przeglądając, zawołał:

— Jakie tu są śliczne wierszyki, mamusiu!

— Skoro ładne, więc je głośno przeczytaj.

Władzio zaczął czytać:

„Dawni mocarze, władcy tej ziemi,
Wśród mogilnego spią chłodu;
Księgi królewskie Bóg zamknął z niemi,
Ale nie księgi narodu.
Bo choć się trony w posadach chwieją,
A berła kruszą, dziecino,
Choć wszystko ginie z czasów koleją,
Ale narody nie giną
I my snuć będziem wciąż życia wątek,
Który na długo nam starczy;
Tylko szukajmy w skarbcu pamiątek,
Naszej nadziei i tarczy!"

P.

PORADNIK DOMOWY.

Odmrożenie rąk i nóg.

W teraźniejszej porze u osób, wystawionych często na działanie wpływów atmosferycznych, dolegliwość ta występuje, niestety, dość często. Zdarza się to osobliwie u osób, wycieńczonych poprzedniemi chorobami; nie znaczy to, aby osoby zupełnie zdrowe nie miały podlegać tego rodzaju cierpieniu, zdarza się to jednak u tych ostatnich wskutek odporności tkanek dość rzadko. Znamy trzy stopnie odmrożenia kończyn: pierwszy polega tylko na zaczerwienieniu skóry, na lekkiem jej zapaleniu; drugi stopień cechuje się utworzeniem na odmrożonej części pęcherzy; trzeci wreszcie, najcięższy, jest to zgorzel (gangrena) częściowa lub całkowita odmrożonego miejsca z uformowaniem się strupa, ropieniem i t. p. Odmrożenie cechuje się poprzedniem zwężeniem naczyń (bladość) i następnem ich rozszerzeniem (czerwoność). Rozszerzenie to przy dłuższem działaniu zimna staje się paralitycznem. Krew nie może dopływać przez takie naczynia, jak również i odpływać — tworzy się wtedy zgorzel (gangrena). To też całe leczenie polega na zniszczeniu paralitycznego stanu naczyń. W tym celu stosują najrozmaitsze środki. Najpierwszym jest nacieranie odmrożonej części wodą ze śniegiem, po półgodzinnem nacieraniu kończynę poddajemy zimnej wannie i w następstwie dopiero należy przechodzić do wody coraz cieplejszej. Jednocześnie można używać pędzlowania słabym rostworem lapisu taniny, siarczanu miedzi, lub wcierania słabego spirytusu gorczycznego. W cięższych wypadkach, gdy zjawiły się już pęcherze, pomoc lekarska jest nader pilną i nieodzowną. Przy odmrożeniach w początkach unikać należy bezwarunkowo gorąca, gdyż ono sprowadzić może gangrenę.

Środek przeciwko pękaniu naskórka na wietrze.

Z chwilą nastania mrozów i silnych wiatrów wiele osób bywa dotkniętych bardzo niemiłem cierpieniem: pękaniem naskórka. W warunkach zwykłych naskórek pokrywa warstwa t. zw. łoju skórnego, która zapobiega jego pękaniu. Są jednak ludzie, u których wydzielina gruczołków łojowych jest nader ograniczoną, szczególniej w porze silnych wiatrów. To ograniczone wydzielanie i szybsze parowanie powierzchni ciała przy silnym suchym wietrze sprowadza u nich pękanie naskórka skóry, wystawionej na działanie powietrza, t. j. rąk i twarzy. Sprawia to nader dotkliwy ból, który częstokroć psuje humor nawet najweselszym. Jak widzimy z podanej dopiero co przyczyny tego cierpienia, usunąć je dość łatwo; skórze bowiem, jak mówiliśmy, brakuje tylko pokrywającej ją zwykle warstwy tłuszczu. Z tego więc powodu osobom, dotkniętym tem cierpieniem, radzimy, co następuje: Pół funta czystej gliceryny rozpuścić w takiej samej ilości wody przekroplonej, lub w braku tej ostatniej, w wodzie przegotowanej, ubić dwa białka na pianę i po ubiciu dodać je do rostworu powyższego gliceryny, wreszcie do tej mięszaniny dodać ćwierć funta olejku migdałowego lub czystej białej oliwy prowanckiej. Wszystko to należy kłócić przez kilka minut. Tak przygotowanym preparatem, kłócąc go przed użyciem, nacierać twarz dwa razy dziennie: przed udaniem się na spoczynek i rano, po lub przed umyciem. Do mycia w takich razach używać należy delikatnego mydła, najlepiej kokosowego lub glicerynowego, oraz stopniowo przyzwyczajać skórę do zimnej wody, począwszy od wody o ciepłocie 25°—28° R., a kończąc na wodzie, której ciepłota nie przenosi 8°—10° R.

Krostki na twarzy.

To, co w języku zwykłym nazywamy krostkami, występującemi bardzo często szczególniej na twarzy, jest objawem czysto fizyologicznym. Skóra nasza zawiera w sobie mnóstwo t. zw. gruczołków łojowych, które bezustannie wydzielają na powierzchnię skóry tłuszcz płynny, zwany łojem skórnym. Często zdarza się, że przewód gruczołka ulegnie zatkaniu wskutek nieczystości, a nawet często sam przez się. Wydzielanie jednak gruczołka nie ustaje ani na chwilę. Stąd też pod uformowaną chwilowo zatyczką przewodu zbiera się ciągle wydzielina i tworzy wyniosłość, którą nazywamy krostką. Z czasem krosta pęka, przewód gruczołka się otwiera i wyniosłość na skórze znika. Częstokroć jednak w kostce takiej zbiera się ropa i tworzy się w następstwie mały wrzodzik. Dlatego też krostki takie są nader nieprzyjemne dla osób dotkniętych niemi, zdarza się bowiem, że często twarz cała pokryta jest niemi. W celu usunięcia tych krostek radzimy następujący środek. Ćwierć łuta zwyczajnego, t. zw. „szarego“ mydła i 3/4 łuta mydła glicerynowego rozpuścić w szklance dobrego spirytusu i dodać do tego jakiegokolwiek olejku eterycznego dla zapachu. Tak otrzymany płyn wcierać niezbyt silnie w skórę na dwie godziny przed snem. Po wtarciu twarz wytrzeć do sucha i posypać ją dobrym pudrem lub mąką kartoflaną. Wreszcie rano zmyć twarz ciepłą wodą z mydłem. Po parokrotnem zastosowaniu tego przepisu krostki znikają, zatyczki bowiem przewodu gruczołka wypadają. W celu utrzymania rostworu mydła dobrze jest również używać dobrej wódki kolońskiej.

Pachnące poduszki do papieru listowego.

Mogą służyć zarówno do papieru listosowego, jak i do bielizny i batystów. Następujący proszek daje dobry zapach fijołkowy. Wziąć na wagę: 1) kwiatu drzewka kasyowego 1.000 część, 2) listków róży 500 części, 3) proszku z korzenia fijołkowego 1.000 cz., 4) piżma w proszku 1 cz., 5) asencyi ze słodkich migdałów 8 5 cz., 6) i nakoniec benzoesu w proszku 250 części. Zmięszać wszystko razem i zaszyć w jedwabne poduszeczki, które kładą się pomiędzy papierem lub bielizną.

Zabawka dla dzieci. Nadanie bańkom z mydła znacznie większej trwałości.

Można uczynić bańki mydlane daleko trwalszemi, zaprowadzając małą zmianę w sposobie przyrządzania do nich mydła. Rozpuszcza się jedną część dobrego, białego mydła w 40-częściach wody, lekko roztwór ten nagrzewając na ogniu. Gdy się mydło całkiem rozpuści i płyn ostygnie, należy go przecedzić. Do trzech, przypuśćmy, łyżek przecedzonego mydła, dodać czwartą łyżkę gliceryny. Przemięszać i pozostawić w spokoju na 24 godzin, poczem powtórnie przecedzić i do odcedzonego płynu znowu dodać jedną łyżkę gliceryny. Tak przygotowanem płynem puszcza się bańki. Bańki takie trzymają się w powietrzu po kilka godzin, a niektóre wytrzymują i cały dzień, co dla dziatwy stanowi naturalnie nieopisaną uciechę.

Zadanie konikowe.

i	ł	i	z	y	c	s	e
p	e	c	p	o	s	ż	ę
a	c	i	y	a	o	r	n
i	z	c	z	ź	k	i	k
b	s	m	b	p	a	e	ż
ł	c	r	i	a	e	ł	s
w	o	r	l	z	e	e	w
a	i	i	d	j	y	e	r

Od numeru 2-go począwszy, gdy liczba prenumeratorów ustali się, dla osób które będą szczęśliwie łamigłówki rozwiązywały, przeznaczać będziemy piękne premje.

☛ Ktokolwiek przyszle nam dobrą łamigłówkę i jej rozwiązanie, umieścimy ją w najbliższym numerze wraz z nazwiskiem autora.

Z drukarni nar. W. Manieckiego. Zarządca: Walenty Hodak. Wydawca: Józef Rogosz. Odpowiedzialny redaktor: Teofil Szumski.